CENA 15 ZŁ

Tadeusz Mikulski, Daphne du Maurier

Odra tygodnik

NUMER 46 (103) KATOWICE — WROCŁAW — SZCZECIN — OLSZTYN, DNIA 16 LISTOPADA 1947 ROKU ROK III

EGON NAGANOWSKI

Pogrobowiec totalizmu

„Gdy narodowy socjalizm zniknie jako zjawisko polityczne, będzie się skłonnym sądzić, że go w ogóle już nie ma... tymczasem wypędzony ze sfery politycznej, wiedzie on dalej swój żywot, stara się innymi drogami wrócić na widownię.“

(Max Picard: „Hitler in uns selbst“.)

W początkach września br. odbył się w Garmisch-Partenkirchen, w Alpach Bawarskich, pierwszy powojenny kongres filozofów niemieckich. Stawili się prawie wszyscy współcześni koryfeusze niemieckiej myśli z Mikołajem Hartmannem na czele. Podczas 6-dniowych obrad wygłoszono wiele referatów i przedyskutowano długi szereg zagadnień, zacząwszy od Platona a skończywszy na marksizmie i egzystencjaliźmie. W przemówieniu powitalnym bawarski minister kultury Hundhammer dał wyraz nadziei, że kongres odegra m. in. rolę zbawiennego drogowskazu w tak ciężkich dla Niemiec czasach, że rzuci jakieś myśli o praktycznym dla ogółu znaczeniu. Od razu, od pierwszego odczytu Hartmanna okazało się jednak, że zgodnie z przeważającymi tendencjami dzisiejszej filozofii niemieckiej nie będzie w Garmisch-Partenkirchen chodziło w żadnej mierze o kwestie związane z palącymi zagadnieniami aktualnymi, lecz o ściśle teoretyczno-poznawcze rozważania.

W związku z tym Joachim Günther („Der Kurier“, 22. 9. br.) pisze nie bez pewnej goryczy, że „nieco więcej kontaktu z obecną rzeczywistością, nieco zainteresowania dla światopoglądowej, szczególnie moralnej nędzy naszych czasów — choćby tylko w doborze przykładów przy dysputach — nie przyniosłoby chyba ujmy naukowemu poziomowi zjazdu“. Podobnego zdania był jedyny gość z zagranicy, profesor Hsiao-Shi-Yi (Pekin), który oszołomiony dyskusją odbywającą się w scholastycznych regionach zupełnej abstrakcji i nie kończącego się rozczłonkowania pojęć wręcz zauważył, że należało by się jednak zastanowić „jak dalece w ogóle w o l n o posunąć się filozofii w teoretycznych zawiłościach“.

Bezpieczne azylum

Dla współczesnych Niemiec jest charakterystyczne, że o ile filozofia przez swych najznakomitszych reprezentantów nie przyczynia się w niczym do duchowego odrodzenia społeczeństwa przez skrajnie izolacjonistyczną postawę (jedyny bodajże wyjątek stanowi tu Jaspers, budzący jednak poważne zastrzeżenia), o tyle myśliciele mniejszego kalibru używają często metod i schematów wypracowanych przez teoretyczną czołówkę dla zamaskowania i przemycenia wielce podejrzanych tendencji. Przykładów takich mamy sporo. Hitleryzm w różnych gradacjach unosi się tu jak duch nad metafizycznymi wodami i choć wyczuwamy doskonale jego obecność, trudno nieraz postawić rzeczowe zarzuty, bo zatruta atmosfera nie posiada odpowiednika w konkretach. Na tym właśnie polega subtelna konspiracja. Któż by był dawniej przypuścił, że antyintelektualistyczny nazizm znajdzie kiedyś w mniej lub więcej abstrakcyjnych regionach myśli najbezpieczniejsze azylum!

Zestąpiwszy z kolei jeszcze o piętro niżej dochodzimy do „filozofów“ i filozofujących pisarzy minorum gentium, dla których filozoficzne konstrukcje i zawiłości dwóch pierwszych kategorii są jedynie sztafażem i oprawą. Ludzie ci o tyle są dla nas najciekawsi, że wypowiadają się stosunkowo najszczerzej. Wprawdzie i oni utrzymują prawie z reguły, iż przedstawiają hitlerowsko-militarystyczno-szowinistyczne zło, by je zwalczyć, faktycznie jednak afirmują je myślowo lub przynajmniej emocjonalnie. Żonglują na krawędzi przeszłości utrzymując, iż mogła ona być dobra pod pewnymi warunkami, względnie widzą w niej fatalną, ogólnodziejową konieczność, dotyczącą reszty świata w tym samym stopniu, co Niemcy.

Wśród pisarzy tego typu wybija się na pierwszy plan pewien człowiek, którego specjalnie warto wziąć pod powiększające szkło. Bije on — jak zobaczymy — wszelkie rekordy w pokapitulacyjnych Niemczech. Jest najszczerszym z szczerych pogrobowców totalizmu, uprawiających swoje gusła między Morzem Północnym a Alpami. A że oprócz tego należy do najmłodszej, zaledwie opierzonej generacji, która siłą faktu zadecyduje o duchowym obliczu najbliższych dziesiątków lat niemieckiej rzeczywistości, wywody jego nie mogą być dla nas obojętne.

Wiwisekcja zła

Aleksander Borelius powrócił w r. 1945 z angielskiej niewoli. Miał wszystkiego 23 lata, lecz zdążył już przed pójściem do wojska odbyć studia w Monachium, Stuttgarcie i Berlinie. Przez rok pracował w różnych agencjach prasowych, nie zagrzewając nigdzie na długo miejsca, a latem 1946 r., wycofawszy się z zawodu dziennikarskiego, wykończył książkę, która pt. „Fatum und Freiheit — eine Vivisektion“ (Przeznaczenie i wolność — wiwisekcją) ukazała się drukiem już w listopadzie tego samego roku.

Borelius stara się rozwinąć w swej pracy system filozoficzny, którego wartość formalna oraz zależność od takich czy innych poprzedników jest dla nas w tym wypadku obojętna. Wystarczy zanotować schopenhauerowski pesymizm, egzystencjonalistyczne parantele i spenglerowski katastrofizm, jako cechy najbardziej widoczne. Są to jednak cechy raczej pozorne, bo np. o katastrofiźmie można tylko mówić o ile dana jednostka stoi po stronie ginącego świata, o ile to, co przewiduje, napawa ją przerażeniem. U Boreliusa tego nie widzimy. Uderza też u niego nitzscheańsko-pogardliwy stosunek do wszystkich etycznych i intelektualistycznych tradycji, co, zdaniem samego autora, jest warunkiem sine qua non dokonania zadowalającej wiwisekcji zła (rzekomy cel książki). Do czego przy tym Borelius naprawdę dąży i jaki jest jego istotny stosunek do analizowanych zjawisk, które się razem na „zło“ składają, czy negatywny, czy wyłącznie „kliniczny“, czy też afirmujący, niebawem się okaże.

O 2764 wojnie i przypadkowych wcieleniach

W dotychczasowej historii — wywodzi Borelius — tak mniej więcej w przeciągu 5500 lat były 2763 godne wzmianki wojny. „Dlaczego obecnie, po tych 2763 wojnach nie miała by nastąpić wojna nr 2764?“ Nie ma żadnej słusznej racji ku temu, by przypuszczać, że właśnie teraz pacyfizm, który w różnych postaciach istniał już zawsze, weźmie górę. Kiedyś, w zamierzchłej przeszłości dokonaliśmy czegoś w rodzaju „prawyboru“ (o ile i on nie był zdeterminowany naszą naturą) i przez to weszliśmy na drogę przyczyn i skutków wiodących od jednej rzezi do drugiej. W tym sensie wojny są nieuchronną koniecznością, czy nam się to podoba, czy nie. Dlatego „każde słowo o pokoju jest marnowaniem czasu... dyskutowanie o wychowywaniu w pokojowym duchu, bez sensu“. To tak jak byśmy chcieli, by 162 nie wynosiło 256, skoro ongiś ustaliliśmy, że 2 × 2 = 4. Mówić dziś o wolnym wyborze w tych sprawach, znaczy narażać się na śmieszność.

Historią rządzi fatum — czy wzięło ono kiedyś w nas, czy też poza nami początek, nie gra żadnej roli. Oprócz przeznaczenia istnieje jeszcze ściśle prywatna wolność „wyboru krawata“ oraz dowolność „przypadku, konstelacji“, dzięki której totalizm — wartość historyczna, więc konieczna — wcielił się ostatnio akurat w narodowy socjalizm, znalazł wodza akurat w Hitlerze i pociągnął za sobą akurat naród niemiecki, choć to samo mogło się przytrafić każdemu innemu narodowi. Hitleryzm był tylko jednym z przypadkowych wcieleń narastających z głębi historii tendencji totalistycznych.

Przeznaczenie jest — rzecz prosta — siłą irracjonalną. Kto dostał się w jej tryby przez wyjście z indywidualnej wolności „wyboru krawata“ i zmieszanie się z gromadą „nie ma już żadnej możliwości sprzeciwienia się, choćby raz, choćby w jednym wypadku“. Nasyca się coraz bardziej panującą ideologią, która staje się dlań jedyną prawdą. Tzw. obiektywne kontrargumenty są dla niego bez znaczenia, bo on ma swój obiektywizm żarliwej wiary, niczym nie dający się obalić. Na czele tego odcinka rozważań Borelius umieścił zdanie wygłoszone przez tajną radiostację niemiecką (Wehrwolf-Sender!): „Oni nie rozumieją, że w ideologicznych wojnach rozstrzygnięć nie wywalcza się bronią“.

Szczęście i doskonałość

Borelius nie zadawala się jednak rzekomym pewnikiem, że „doba, w której żyjemy, dojrzała do totalizmu“, lecz wynajduje też — po krótkiej wzmiance o 9 (?) milionach ludzi, którzy padli ofiarą hitleryzmu — wiele dodatnich stron w rozpatrywanym zjawisku. „W rzeczy samej — pisze — idea państwa totalnego posiada fascynujący (!) podkład filozoficzny. Państwo totalistyczne jest jedyną instytucją, która wiecznemu poszukiwaniu ludzkości i wiecznemu nieszczęściu płynącemu z wątpliwości kładzie kres. Zupełna totalizacja jest rzeczywiście rozwiązaniem każdego problemu, który trapił ludzi od początku świata, jest rozwiązaniem, bo potem nie ma już pytań... Ludzkość byłaby zadowolona...“ Nagłówek tego rozdziału brzmi: „O doskonałości“.

Do tej „doskonałości“ zmierzamy wielkimi krokami. Wprawdzie narodowo - socjalistyczną formę, tj. III Rzeszę zniszczono, ale ducha, który za nią stał, nie uda się wyplenić. „Gdy idea totalizmu obejmie raz władzę nad ludźmi... to nigdy już ich nie odstąpi.“ W takim wypadku „nie ma środka z wyjątkiem śmierci, który mógłby ich odwieść“ od przedmiotu opętania. Po co zresztą podejmować próby w tym kierunku? Są szczęśliwi, „szczęśliwi w innym świecie, w świecie swej ideologii, w której i dla której żyją“.

Religia opętanych

Nie mogąc mimo swej pogardy dla tradycyjnych pojęć moralnych zaprzeczyć pewnym ujemnym zjawiskom towarzyszącym totalizmowi, Borelius pisze: „Państwo totalistyczne nie może oczywiście zrezygnować początkowo z drastyczno-cezarystycznych metod użycia siły...“ dla wmocnienia swego organizmu. Lecz to stanowi jedynie stadium przejściowe. „Prawdziwy totalizm zaczyna się dopiero poza totalnym państwem. Jego moc jest ideą, a idea mocy zaczyna się dopiero poza mocą samą“. Również dyktator staje się w końcu inkarnacją tej idei, „Führer — to misterium“. (!)

Nadejdzie taka chwila, że człowiek do tego stopnia przesiąknie totalizmem, iż wszelki przymus będzie już zbyteczny. Ku temu kroczył narodowy socjalizm... Choć rozwój ten przerwano, „przyszły nadczłowiek (!) w nowoczesnym nadpaństwie“ pójdzie dalej w tym kierunku. „Państwo totalne jest religią, nową religią.“ „Żadna próba (powtarza tu Borelius raz jeszcze) nawrócenia lub reedukowania ludzi tą ideą opętanych nie może mieć powodzenia.“ A „z 80 milionów, których Hitler nawiedził opętaniem (to słowo u Boreliusa nie ma ujemnego znaczenia), 79 milionów opętaniu uległo“. (!!)

W konsekwencji tego nieuchronnego rozwoju zbliża się też koniec indywidualizmu i intelektualizmu. Młodzi ludzie — mówi Borelius za Spenglerem — powinni pójść raczej do marynarki, niż zapisywać się na filozofię, bo czasy, które idą, będą czasami cezaryzmu, a nie estetyki. Dla intelektualistów istnieją tylko dwie alternatywy: albo będą trwali na dotychczasowym stanowisku, wtedy znikną jeszcze w tym wieku z oblicza ziemi i historii, albo zaprzeczą samym sobie. Innego wyjścia nie ma.

Od metafizyki do... Norymbergi

W rozdziale „O metafizyce“ Borelius oddaje się długim i zawiłym rozważaniom, ale i tu dochodzi do wcale konkretnych i jednoznacznych wniosków. „Jest wszystko jedno — wywodzi — czy Bóg, w którego się wierzy, przebywa w niebie i sprawuje stamtąd totalistyczną władzę (!), czy też panuje na ziemi i nazywa się Adolf Hitler... Różnica jest śmiesznie mała“ (!). Chodzi wyłącznie o to, by wyznawcy głęboko wierzyli w dany porządek rzeczy, „a jeżeli to czynią z fanatyczną żarliwością i pogardą śmierci... rozwiązanie w sensie historycznym jest słuszne“. Ostatecznym kryterium słuszności jest powodzenie. Ewentualne okrucieństwa nie mają tu nic do rzeczy, „bowiem dotyczą jedynie indywidualnych uczuć“, a te nie mogą być brane pod uwagę w nadchodzącej epoce kolektywizmu. Ważna jest, jak się rzekło, irracjonalna wiara. Różnice w wierze a nie popełnione mordy grały zresztą i dotąd rolę przy wszystkich sądach nad przeciwnikami w historii. „Zazwyczaj obie strony, sędziowie i podsądni mieli na sumieniu te same rzeczy.“ Ta ideologia zaś sądziła i była dobra, która była górą.

Wehrwolf-Verlag?

Wystarczy. Po tym komentarzu do procesu norymberskiego jakiekolwiek komentarze z naszej strony są zbyteczne. Na koniec winien jestem czytelnikom tylko jedno wyjaśnienie. Książka Boreliusa nie ukazała się w żadnym Wehrwolf- czy Edelweis-Verlag, lecz zupełnie legalnie u Rowohlta w Stuttgarcie za zezwoleniem nr 1014 Wojskowego Urzędu Kontrolnego USA.

Egon Naganowski.

TADEUSZ MIKULSKI

Rękopisy Ossolińskich

Przemówienie wygłoszone na otwarciu wystawy „Literatura polska w autografach Biblioteki Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu“, w dniu 1 października 1947 r.

Wszystkie rękopisy, które leżą przed nami, przechowała i ocaliła na dzień dzisiejszy Biblioteka Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Jest to bogactwo kulturalne wielkiej ceny. Ale słuszność historyczna nakazuje wspomnieć obok Biblioteki Ossolińskich także licznych właścicieli i zbieraczy zabytków literatury, którzy ocalili w tych salach niejeden wspaniały dokument literacki. Odczytujemy ich nazwiska z podpisów i pieczęci bibliotecznych na rękopisach. Autografy pisarzy — od wieku XVII do Leopolda Staffa — przeszły nieraz długą i zawiłą drogę, zanim trafiły pod szkło naszej gabloty. Najłatwiej dostrzec, że strzegli ich i zbierali możni przedstawiciele rodzin magnackich: Andrzej Ewaryst Kuropatnicki, kasztelan bełzki w wieku XVIII, przechował rękopis Elżbiety Drużbackiej (zaraz na pierwszym stole wystawy), Józef Maksymilian Ossoliński uzbierał całe bogactwo zabytków. Najtrudniej zauważyć, że w wielkim dziele przechowania autografów literackich spotykają się z senatorami dawnej Rzeczypospolitej drukarze wieku XIX, którzy z zecerni czasopism lwowskich wyrwali i ocalili spod maszyn rękopisy Kraszewskiego i Jeża. Czernidło innych drukarń — Warszawy i Krakowa — oglądamy na rękopisach Sienkiewicza, Żeromskiego, Reymonta. Tak szacunek dla dzieła literackiego dzielą wielmoże naszej historii i liczne rzesze drukarskie, zatrudnione wokół powstania książki.

Gdy zbliżamy się do gablot, spostrzegamy od razu — ręce pisarzy. Jakież ich bogactwo i rozmaitość! Ręce Wacława Potockiego sypią piasek na wielkie karty rękopisu, na którym toczy się „Wojna Chocimska“. Miękkie ręce Ignacego Krasickiego rokokowym, ozdobnym pismem rozrzucają „Satyry“ w szeroko składanych zeszytach, na których widok król Stanisław August powiedział: „Miłe Pisma, jeszcze milszy byłby sam Author, a kiedy go też znowu zobaczemy (w Warszawie)?“. Ręce Aleksandra Fredry: silne i pewne w pierwszym okresie komediopisarstwa, starcze i z trudem prowadzące pióro przed śmiercią. Ręce Mickiewicza: które nożycami pocięły rękopis „Konrada Wallenroda“, by obdzielić sprawiedliwie przyjaciół, które później będą wyrywać karty z rękopisu „Pana Tadeusza“, na zaspokojenie rosnącej miłości dla poematu i źle rozumianego bibliofilstwa. Niespokojne ręce Słowackiego, które w nieustannych kreśleniach tekstu szukają poetyckiego słowa i obrazu. Z późniejszych ręce Władysława Reymonta, niestrudzone, twarde, dziwnie zmienne w charakterze pisma, utrwalone w grubych ceratowych zeszytach, na które patrząc słyszymy prawdziwe słowa pisarza, wypowiedziane w r. 1903: „Widzicie, jak ja tu orzę!“.

Wszystkie te ręce rozkładają przed nami — dzieło literackie. Autografy wystawy przedstawiają dzieło literatury polskiej, na przestrzeni trzech wieków rozwoju piśmiennictwa, w różnych stadiach twórczości. Oto notatnik Reymonta z pielgrzymki na Jasną Górę, gdzie gromadzą się zapisy i wrażenia do dzieła, które da mu pierwszą sławę. Oto notatnik Kasprowicza, kupiony — jak na rachunki sklepowe — u kupca detalisty Singera w Poroninie, by między czerwone rubryki zeszytu tłoczyć na samotnym spacerze poronińskim strofy „Księgi Ubogich“. Dalsze bruliony tekstu, nad którymi ślęczą cierpliwie autorzy, dopracowując się formy, języka, pogrążeni w wahaniach nad ostateczną redakcją sceny czy pejzażu. Fredro trzykrotnie rzuca na papier ostatnie dialogi w „Panu Geldhabie“, szukając naturalnego rozwikłania komedii. Słowacki kreśli uparcie swój przekład „Iliady“, zezując pilnie nie tylko do tekstu oryginału, ale także do francuskich i angielskich tłumaczeń Homera. Leopold Staff zaświadcza swoim brulionem, jak wygląda praca artystyczna, gdy poemat o „Panu Twardowskim“, napisany zrazu oktawą Torquata Tassa, postanowił autor przenieść na tercyny, którymi władał Dante. Z brulionów - książki, poniechanych, kreślonych, odrzucanych przez pisarza i znów rozkładanych na stole, jawi się zwolna ostateczny tekst dzieła, jak go oglądamy w rękopisach Żeromskiego, w których wiersze toczą się równo i okrągło, jak sznury pereł.

Tak demonstruje wystawa trudny i zawiły proces powstawania dzieła literackiego w pracowniach kilkudziesięciu pisarzy.

Znajdują się w tych gablotkach książki, które powstały pod szerokością geograficzną najrozmaitszą: „Farys“ Mickiewicza w Petersburgu. „Pan Tadeusz“, pisany w Paryżu, przepisywany w Bex, na południu Francji, przy łożu Stefana Garczyńskiego. „Hymn o zachodzie słońca“ był modlitwą Słowackiego, na pokładzie statku, „dojeżdżając do Aleksandrii“. „Spekulant“ Korzeniowskiego pisany w Charkowie. „Księgi Hioba“, na zaświadczenie polskiej tułaczki wieku XIX, Karol Brzozowski tłumaczy w Bagdadzie. „Chłopi“ Reymonta tłoczą się ławą w wyobraźni pisarza w Paryżu, w Rzymie, w Zakopanem, w Połądze. Wodząc spojrzeniem po tym rozległym horyzoncie, grubą kreską rysujemy południk, który przechodzi przez Wrocław. Bowiem na wystawie obecnej znajdują się rękopisy, które należą do tradycji literackiej Wrocławia. Notaty turystyczne Fryderyka Skarbka, który gustował we włóczędze po Śląsku. Czarny zeszyt Jana Kasprowicza, kupiony u wrocławskiego sprzedawcy i pełen poezji ze studenckiego okresu. Karta pocztowa Marii Konopnickiej, z zachodnim portalem katedry, z niemieckim nadrukiem nad wieżami kościoła „Gruss aus Breslau“. Podajemy dzisiaj tę kartę naszym gościom i przyjaciołom — jak dobrą nowinę o rękopisach Ossolińskich w naszym mieście, z pozdrowieniem z Wrocławia.

Tadeusz Mikulski.

Pisarze Zachodu i Wschodu

W toczącej się walce ideowej między literaturą Zachodu i Wschodu zabrał głos krytyk radziecki J. Ch. Czerniak, którego wywody w skrócie podajemy poniżej.

Było to przed zaledwie siedmiu laty. Francja właśnie była padła. Na kontynencie usiłowały resztki angielskiej armii przedostać się z Dünkirchen do swojej ojczyzny. Nad Wielką Brytanią zawisła groźba niemieckiej inwazji.

Wtedy to grupa najpopularniejszych pisarzy angielskich z Aldingtonem, Huxleyem, Maughamem i Audenem na czele spakowała pospiesznie swoje walizki z zamiarem wyjazdu statkiem transatlantyckim do dalekiej, cichej Kalifornii. „Ameryka jest jedynym miejscem, w którym można czuć się Europejczykiem“ — pisał wtedy Aldington. Pozostał on przez cały czas trwania wojny w Stanach Zjednoczonych i pracował nad powieścią, którą niedawno „uszczęśliwił“ ludzkość. Podczas gdy cały świat uczestniczył w wielkich historycznych zmaganiach, Aldington studiował pilnie przygody miłosne wielkiego awanturnika z XVIII w., Casanovy i teraz przedstawia je we wszystkich szczegółach w swojej tak bardzo „potrzebnej“ narodom Europy powieści.

Inny pisarz angielski, Maugham, również rzetelnie pracował pod błogosławionym niebem Kalifornii. Niedawno ukazała się jego książka, którą pisał w czasie, gdy bez przerwy dymiły krematoria Majdanka i Oświęcimia, a miliony miłujących wolność Europejczyków prowadziły rozpaczliwą wojnę z potwornym faszyzmem. Książka Maughama nosi tytuł „Wtedy i teraz“. Jest to powieść o życiu i dziele Niccola Macchiavelli, którego imię dawno już uchodzi za symbol kłamstwa, zdrady i politycznej obłudy.

Trzeci przedstawiciel angielskiej literatury pięknej, Aldous Huxley, który wojenne „niewygody“ w ojczyźnie zamienił także na dobrodziejstwa amerykańskiego „service“ napisał podczas wojny powieść pt. „Czas musi się zatrzymać“. Idea jego jest bardzo nieskomplikowana. Jest to po prostu apologia dezercji i wezwanie do pogłębionego egoizmu.

Angielscy pisarze, o których tutaj jest mowa, opuścili ojczyznę w chwili, gdy zagroziło im niemieckie lotnictwo i udali się za ocean.

Francuskim, skorym do podróży pisarzom trudno było uczynić to samo. Wielu, bardzo wielu musiało pozostać i zająć jasne stanowisko wobec uciśnionych obywateli swej ojczyzny. Andrè Gide uczynił to w swoim dzienniku, który przez cały ten czas pilnie prowadził i w roku 1946 oddał swoim współczesnym ku pouczeniu. Okazuje się, że francuski pisarz romansów był w tych latach oczarowany zbrodniczą energią Hitlera. „On jest naprawdę genialny“, pisze Gide w swoim dzienniku. Z zadziwiającym cynizmem zapisuje w nim także zdanie: „Najmądrzej jest poddać się. Ja sam w żadnym wypadku nie będę się buntował.“ A potem opisuje szczegółowo, jak przekroczywszy dawno siedemdziesiątkę, wziął do rąk niemiecki elementarz, ażeby nauczyć się języka okupantów swojej ojczyzny i aby w ten sposób móc im jeszcze gorliwiej służyć.

Niedawno pozwolono Andrè Gide'owi odwiedzić Niemcy, a nawet przemawiać do niemieckich studentów w amerykańskiej strefie okupacyjnej. Jak donoszą gazety niemieckie, przybrał szanowny zdrajca tym razem pozę moralisty. Jako rzeczoznawca pouczał on teraz młodzież niemiecką o najwyższych wartościach duchowych i dawał narastającej generacji rady.

Pisarze tego pokroju mieli za oceanem wielu naśladowców. Daremnie szukano by w literaturze amerykańskiej wybitnych dzieł na temat tego, co ludzkość w latach ostatniej wojny przeżyła i co ją w przyszłości czeka. Jest rzeczą charakterystyczną, że zarówno w USA jak i na zachodzie Europy przeważająca większość pisarzy w ogóle woli tematy wojenne zostawiać na boku i ignoruje ten palący problem. Gdyby jakiś późniejszy historyk miał odtworzyć życie naszej współczesności wyłącznie na podstawie zachodnioeuropejskiej literatury pięknej, zaledwie by się zmiarkował, że w tym czasie przewaliła się nad światem najbardziej niszczycielska i najkrwawsza wojna.

O wojnie, jako takiej, ukazało się w literaturze amerykańskiej zadziwiająco mało dzieł. To „trochę“, co na ten temat napisano, jak np. powieść Marquanda „Tak mało czasu“, powieść Flavina „Podróż do ciemności“ (amerykańscy krytycy uznali je za świetne dzieła), z daleka tylko dotyka wojny. Książki te opowiadają o kłopotach miłosnych swoich bohaterów i o tym, jak oni się wśród pokonywania rozlicznych przeszkód materialnie „windują w górę“. Wojna służy tym autorom wyłącznie jako tło, na którym rozgrywają się zdarzenia z życia poszczególnych bohaterów. Najwięksi, pochodzący ze starszej generacji pisarze amerykańscy wcale o wojnie nie pisali. Jedynie Steinbeck zahacza o ten temat w swojej powieści „Księżyc zaszedł“. Atoli także ten utwór nie ma realistycznego charakteru. Jego akcja dzieje się w jakimś nieznanym północnym kraju, który został napadnięty przez hitlerowców.

W Europie zachodniej ukazało się trochę więcej dzieł o wojnie. Zarówno jednak rodzaj, jak i autorzy, którzy interpretują wielkie wydarzenia historyczne, jak również i wnioski stąd wyciągane wykazują, że pisarze ci odczuwają wyraźną pogardę dla człowieka i zajmują wobec jego losu całkiem obojętną postawę.

Na zachodzie cieszy się hałaśliwą sławą filozof, dramaturg i powieściopisarz Jean-Paul Sartre. Prasa angielska ogłosiła go niedawno „Voltairem naszych dni“. Pisał to oczywiście człowiek bez jakiegokolwiek poczucia humoru. Jak można ataki starca z Ferney na reakcyjne obrzydliwości ówczesnej Francji, jego namiętną walkę z mistyką, z bajkami o piekle i papieżach porównywać, spowodowane wojenną przerwać z głoszeniem bezsensowności ludzkiego bytu przez Sartre'a, z jego twierdzeniem, że życie na ziemi jest prawdziwym piekłem?

Sartre, uczestnik ruchu oporu we Francji, reaguje na bohaterskie epos narodu francuskiego sztuką „Zwycięzca“. Akcja rozgrywa się w piwnicy gestapowskiej, w której siedzą złapani partyzanci. Jednego po drugim woła się do przesłuchów i poddaje torturom. Pozostali w celi spędzają tymczasem chwile swe na ustawicznym dręczeniu się nawzajem i zrywaniu własnych i cudzych ran duchowych. W całej sztuce panuje sadystyczne rozkoszowanie się cudzym cierpieniem i freudowskie grzebanie w życiu duchowym skazanych na torturę i śmierć bohaterów. Tego rodzaju nienaturalna „filozofia“ uchodzi za artystyczną interpretację bohaterskiego ruchu oporu.

Trochę realistyczniej i bardziej wiarogodnie, bez tych patologicznych wywichnięć i grymasów Sartre'a przedstawił ruch oporu w powieści „Zmierzch żyjących“ Serge Groussard. Jakże jednak straszliwie ponura jest ta książka! Jej bohater, Pierre, walczy mężnie o wyswobodzenie swojej ojczyzny, Francji. Kiedy wrogom udaje się złapać go, nie załamuje się, lecz poozstaje sprawie swej wierny do końca. Pierre znosi milcząco straszne tortury i umiera w kaźni. Obraz Pierre'a narysowany został z nieukrywanym podziwem dla tego nieustraszonego i nieposzlakowanego rycerza.

Cała powieść przesiąknięta jest pełnym niewypowiedzianej zgryzoty nastrojem. Bohater sam poznaje swoją zagładę, swoje osamotnienie, jest przekonany, że czeka go zapomnienie, że nikt nie będzie pamiętał o jego wielkich cierpieniach i mękach, które wziął na siebie dla ocalenia szczęścia ludzkości.

Może w tej artystycznie najwiarygodniejszej powieści wystąpiła szczególnie wyraźnie granica, która dzieli usposobienie pisarza zachodnioeuropejskiego od myśli i uczuć sowieckich mistrzów słowa. Wielu spośród nich musiało opisać zagładę swoich bohaterów; albowiem walka sowieckiego człowieka wymagała wielu, wielu ofiar.

Groussard tworzył w kraju, gdzie żyją jeszcze cienie z Vichy, gdzie wczorajsi kolaboracjoniści coraz większą zdobywają władzę. Kto z tych ludzi znajdzie słowo uznania dla bohaterstwa Pierre'a, który życie swoje poświęcił dla oswobodzenia Francji? Dlatego zgryzota cechuje rozważania pisarza nad czynem swego bohatera, nad jego samotnością i przeświadczeniem, że wkrótce trawa zapomnienia zarośnie grób tego męczennika w walce z faszyzmem.

W latach, gdy wybitni przedstawiciele angielskiej literatury tak łatwo wyrzekli się ojczyzny, kryjąc nagi egoizm za parawanem wzniosłych deklamacji o „wolności sztuki“, rozciągnęła się burza wojenna także na wschodnią Europę. Armia Hitlera wtar-

(Dokończenie na str. 2)

Co robią Niemcy

Mapa Niemiec, jaką winniśmy wydać - Czarne kółka: Stuttgart, Hannover — Prawda o jeńcach

Zainteresowanie prasy polskiej problemami Niemiec powojennych jest rzeczą zupełnie naturalną i wypływa z pewnej politycznej konieczności. Ale i niemiecka prasa żywo się interesuje Polską. Ilość poloników w prasie niemieckiej wzrasta z dnia na dzień i aż szkoda, że niema jakiegoś urzędu, który by się zajął ich gromadzeniem lub przynajmniej zapamiętywaniem w formie bibliografii. Prasa niemiecka zależna od kilku, politycznie różne zajmujących stanowiska czynników okupacyjnych, daje całkiem interesujący obraz poglądów niemieckich na Polskę. Moglibyśmy na tej podstawie narysować bardzo ciekawą mapę, na której uwidocznilibyśmy miasta z ich pismami i partiami, które zajmują wobec Polski i jej najistotniejszych problemów (do nich należy przede wszystkim granica na Odrze i Nysie) stanowisko przychylne, obojętne lub wrogie. Ośrodków pierwszych i drugich jest najmniej. Pierwsze znajdują się na terenie strefy okupacyjnej sowieckiej, przy czym główny ton w tej atmosferze mają pisma SED. Poza strefą sowiecką rzadko pojawi się jakiś przychylny głos, stwarzający możliwości porozumienia. Stanowisko obojętne zajmuje bardzo nikła ilość pism, pod tym względem przez pewien



Karl Holtz: Późne życie. (Holtz należy do najbardziej ulubionych rysowników w dzisiejszych Niemczech).

czas przykładem mogły służyć pisma szlezwickie, zaprzątnięte lokalnymi kłopotami i walką o granicę z Duńczykami, ale ostatnio już i tam szerzy się przekleństwo na Polskę, wynikłe z nastroju kapitulanckiego wobec Duńczyków, składające na Polskę winę za duński rewizjonizm. Skojarzenia jak widzimy godne złośliwych chłopców, którzy nie mogąc się zemścić na wujaszku, mszczą się na przechodniu, który nosi taki sam jak on kapelusz. Wreszcie czarnymi kołami oznaczylibyśmy na mapie miejsca, w których hula sobie pod opiekuńczym okiem władz okupacyjnych najgorsza, najbardziej zakłamana propaganda antypolska. Będzie tonęła w tych kółkach Bawaria, zła na „śląskich Prusaków", którzy w wyniku powziętych przez Polskę wysiedleń znaleźli tu schronienie, zakołuje w Nadrenii, gdzie niezbyt skorzy do pracy w górnictwie Niemcy boją się panicznie powrotu naszych dzielnych Westfalaków do kraju, zaroi się od punktów antypolskich w strefie francuskiej, w Hamburgu, w niesowieckich sektorach Berlina, w całych zachodnich i południowych Niemczech. Jasne kręgi, znamionujące istnienie ośrodków nastawionych przyjaźnie do Polski i do poczdamskich uchwał granicznych, będą w tym obrazie rzadkie i wątłe. Zaprawdę, przydałaby się taka mapa, winna ona znaleźć się we wszystkich redakcjach i urzędach jako prawdziwy obraz nieprzyjaciela, krajobraz, w którym będą wiadome ośrodki wrogie i ośrodki przyjazne, z którymi należy szukać styczności. Może Wydawnictwo Zachodnie pomyśli nad konstrukcją takiej mapy, może doda ją do jednego ze swoich cennych wydawnictw?

Przydała by się taka mapa chociażby tylko po to, by zwrócić baczną uwagę na leżący w strefie amerykańskiej Stuttgart i jego reprezentacyjny miesięcznik „Stuttgarter Rundschau", wychodzący pod redakcją Henry'ego Bernharda i Fritza Eberharda. Pismo to systematycznie, w sposób gruntowny i pozornie obiektywny, atakuje Polskę i naszą granicę zachodnią. Wstępne artykuły tego periodyku, kryjąc się za tak popularne tu hasło walki z komunizmem, atakuje Polskę nie tylko od strony politycznej, sięgając do starych i skompromitowanych już argumentów w rodzaju „polnische Wirtschaft". Od czasu do czasu pada tu faryzejskie stwierdzenie, że gdyby Polska była inna, mogłaby liczyć na przyjaciół w szeregach publicystów i polityków niemieckich, że oni walczą nie z Polską jako taką, ale z dzisiejszą Polską „komunistyczną". Ostatnio w artykule „Co Rosjanie zamierzają uczynić z Niemcami" sprawom niemiecko-polskim poświęcono kilka obszernych ustępów. Czytamy tam, że „Polska przed powaloną postacią Niemiec odczuwa okropny strach, jakiego nie odczuwała przed Niemcami zwycięskimi". To według autora artykułu jedynie wiąże Polaków z Rosjanami. Gratulujemy redakcji „Stuttgarter Rundschau" bystrości politycznej, a ponieważ i inne wnioski są na takim samym poziomie, również i ten artykuł uznać można nie jako próbę dyskusji stosunków polsko-niemieckich lecz jako jeszcze jeden atak polityczny, składający się z fałszywych faktów, dobieranych do wrogiej teorii.

Nawet antypolski „Stuttgarter Rundschau" nie może jednak od czasu do czasu po tyradach zwycięskich i pełnych płonnej nadziei nie pozwolić sobie na chwilę szczerości. Taką chwilą było niedawne stwierdzenie, że jakby nie było, górnośląski okręg przemysłowy winni Niemcy uważać za bezpowrotnie utraconą część „wschodnich Niemiec". Pesymistyczne to dla Niemców zdanie było rozsądnie uzasadnione, tym razem argumentami polskimi, a więc zarówno historyczną przeszłością tej ziemi, stanem narodowościowym ludności autochtonicznej jak i znaczeniem politycznogospodarczym Górnego Śląska dla nowej Polski a w jej granicach dla Europy. Redaktorzy niemieccy nie zauważyli jedynie, że większość tych argumentów równie dobrze pasuje do innych części Ziem Odzyskanych. Może wtedy mniej by się zachłystywali powiedzianym chyba specjalnie dla zdobycia sobie Niemców zdaniem Mr. Bevina, jakoby obecna granica na Odrze i Nysie stała się najbardziej niebezpieczną granicą zachodniego świata. I tu znowu warto podkreślić inne zdanie „Stuttgarter Rundschau", którego intencje i właściwe znaczenie zbyt jednostronnie zostały wyłożone przez redakcję, mianowicie, że zmiana granicy na Odrze i Nysie oznaczałaby koniec Polski a tym samym koniec opartego na równowadze sił w tej części Europy pokoju.

Mapa nasza otoczyłaby czarnym kręgiem Hannover, w którym stworzona przez Schumachera antykomunistyczna centrala rozpowszechnia anonimowe ulotki, szkalujące Polskę. „Radujcie się z miecza" — hasło poległego w pierwszej wojnie światowej nacjonalistycznego poety niemieckiego Waltera Flexa powtarzają te nierozumne ulotki, karmiące wszystkich nadzieją rychłej drugiej wojny. „Wojna nie zakończyła się jeszcze a dzień, w którym ojczyzna wasza zostanie oczyszczona, jest już ustalony. Gdy wybije godzina, zaczniemy działać." Wobec takiej propagandy wojennej uprawianej przez legalną partię trudno oczekiwać zmiany stosunku szerokich mas niemieckich do Polski i jej granic. Pisma zaś niemieckie są wykładnikiem nastrojów mas.

Rzadkie obiektywne zdania w pismach wychodzących w strefach zachodnich lub niesowieckich Berlina odnotowywać warto już nie jako znak pewnego systemu myślenia lecz jako chęć obiektywizowania się w oczach Polaków. „Der Tagesspiegel" wychodzący w sektorze brytyjskim Berlina zamieścił niedawno w dziale „Demokratisches Forum" list niejakiego Artura Kurka, który powrócił z niewoli polskiej. List ten, kreśląc w sposób dość obiektywny warunki, w jakich żyją jeńcy niemieccy w Polsce, powinien zakończyć nierozumną kampanię pewnej części prasy zachodnio - niemieckiej przeciwko Polsce, jako traktującej rzekomo w najbardziej nieludzki sposób jeńców niemieckich. Kurek stwierdza, że jedzenia i tytoniu mają jeńcy dosyć, że warsztaty pracy dokarmiają ich często z własnych fabrycznych kuchni, że są biblioteki, niema ograniczeń w przyjmowaniu poczty, są urządzenia higieniczne, ciepłe ubrania. Ogólnie rzec można — pisze Kurek — że jeńcy niemieccy w Polsce żyją lepiej niż Niemcy u siebie.

WISZ.

Na trzydziestą rocznicę

TADEUSZ SOKÓŁ

Pieśń

Zamilkłym na rozstajach wiekowych
burzom dziejowym, rewolucjom
gęślarz — śpiewam. Dowódców posiwiałe głowy
kołyszą się w trzepocie wyblakłych sztandarów:
im śpiewam. Nieczuły, że olbrzymy z karłów
wyrastają na grobach. Podnoszę mą lutnię,
starzec ślepy i głuchy na wołanie tłumów,
i sławię wielkość doktryn z czasów mej młodości.
Patos krwi i bandaży z rękawów sukienki
dziewczyny wołającej — alons — jest mą dumą
i pieśni mej natchnieniem. Jej szaleństwo głoszę
mej lutni strun bojowych patetycznym szczękiem.

Marli na barykadach. Olbrzymy swych czasów
historia zapisuje potęgę mej pieśni.
Stoję, starzec oślepły, zasłuchany w przełom,
któremu złorzeczyli głupcy mnie współcześni
i z rozpaczy konali. To ich mój śpiew przeklął
bólem samotnych synów poprzez ojców własnych
wyklętych za ich miłość. Tak rosły olbrzymy,
aż posiwiałe spoczęły na twardych cokołach
i skamieniały. Im śpiewam nim i ja zgasnę,

KAZIMIERZ WINKLER-AUGUSTOWSKI

Start nowych piór

Podczas walnego zgromadzenia Śląskiego Oddziału Związku Zawodowego Literatów Polskich w Katowicach, prezes ustępującego zarządu, Zdzisław Hierowski, omawiając pracę oddziału w okresie, kiedy pozostawał on pod jego kierownictwem, wspomniał o ciekawej statystyce. Otóż według jego obliczeń na ogólną liczbę 38 literatów, zrzeszonych w Oddziale Śląskim ZZLP (liczba ta obejmuje 17 członków rzeczywistych i 21 członków-kandydatów), tylko 6 poświęcało cały swój czas pracy czysto literackiej i na niej opierało swoją egzystencję, czyli, jak to się mówi, żyło z książek, 9 członków łączyło pracę pisarską z innymi zawodami pokrewnymi, np. z pracą w teatrze, radiu itd., natomiast aż 23 z tych czy innych względów zajmowało stanowiska, nie mające nic wspólnego z literaturą, dla której siłą faktu pozostawało im bardzo niewiele czasu.

Powyższe zestawienie ma swoją wymowę. Wielokrotnie już poruszana była sprawa zarobków literatów. Insynuowano, że zarobki te kształtują się niezwykle wysoko w stosunku do ogólnego standartu życiowego innych zawodów, z drugiej strony natomiast padały głosy, że nie wolno poszczególnych, jaskrawych przykładów stosować do ogółu, który w większości nie może nawet bazować na literaturze jako jedynym i wyłącznym źródle utrzymania, nie mówiąc już o bajońskich zarobkach.

Oczywiście, chęć potwierdzenia tego ostatniego poglądu konkretnym przykładem śląskich literatów może być podważana pytaniem, czy ci wszyscy, pracujący „z konieczności" w innych zawodach, nie są tylko snobującymi się literatami z legitymacji, którzy w ogóle nie chcą zmieniać lepszych lub gorszych, ale stałych posad na niepewny chleb pisarza, a poza tym nie mają w gruncie rzeczy w literaturze niczego nowego do powiedzenia.

Przypuszczam, że są i tacy. Biorąc jednak pod uwagę, że prawo do członkostwa w ZZLP zdobywa się na podstawie uzyskanych już wyników pisarskich, które gwarantują pewien, choćby minimalny poziom przygotowania zawodowego, zakładam istnienie czynnika siły i atrakcyjności pisarskiego nałogu. Kto już raz wyczuł w sobie ten nurt wewnętrzny, który nagle układa się pod piórem w słowa, wyrażające trafnie i obrazowo (choćby w ocenie subiektywnej) wizje wyobraźni, ten nie rezygnuje łatwo z głębokiego zadowolenia, jakie daje praca literacka bez względu na towarzyszący jej trud i wysiłek psychiczny.

Trzeba się więc chyba zgodzić z faktem ubóstwa naszego rynku literackiego, który mimo tak obfitej prasy codziennej i periodycznej, mimo licznych spółdzielni wydawniczych, nagród literackich i funduszów kultury, mimo wreszcie nęcących posad ambasadorów, zarezerwowanych dla czołowych literatów, nie może zatrudnić i utrzymać przynajmniej zrzeszonych w organizacji zawodowej pisarzy.

Nawiązanie z pismem literackim czy społecznym bliższego kontaktu, który mógłby stworzyć pewne oparcie moralne i materialne, stanowi dla początkującego pisarza pasmo trudności i zawodów. Grupujące się wokół bardziej popularnych tygodników zespoły redakcyjne i dość ograniczone cyfrowo koła literatów, publicystów i naukowców, z którymi te zespoły ściśle współpracują, otaczają się w praktyce murem uprzedzeń, sympatii i przesądów, począwszy od politycznych, a skończywszy na, dajmy na to, rodzinnych. Wydanie książki wymaga również uprzedniego „wejścia" w literaturę w sensie przygotowania terenu oraz serii kontaktów i przyjaźni. Wreszcie pamiętać trzeba o różnych i nużących sprawach życia codziennego, o mieszkaniu. przydziałach, podatkach, które rabują cenny czas i szarpią nerwy. Jak to się często zdarza i w innych dziedzinach, również zawodowi literackiemu, mimo wypowiedzi ze strony czynników rządowych, zapewniających o opiece państwa nad ludźmi sztuki, z literatami na czele, takie czy inne podrzędne władze potrafią dokładnie zatruć życie.

Właśnie ostatnio dowiedziałem się, że pewna niewiasta, długoletni członek ZZLP i b. członek Zarządu Oddziału Śląskiego, która podczas okupacji przebywała w Warszawie i brała udział w powstaniu warszawskim, otrzymała bezwzględny nakaz (bez odwołania do jakiejkolwiek władzy) opuszczenia mieszkania w Katowicach, w którym zamieszkuje od półtora roku. Jako bezpośrednią przyczynę eksmisji postawiono jej zarzut, nie mający pokrycia w rzeczywistości, że w obecnie zajmowanym lokalu mieszkała ona już podczas wojny razem z jakimś tam Niemcem (tu sprawa nabiera dodatkowo sympatycznego posmaku sensacyjki).

Mówi się powszechnie, że w zawodzie literackim, a szczególnie w jego pewnych dziedzinach, np. w krytyce literackiej brak jest ludzi zdolnych, wyróżniających się mocną podbudową przygotowania teoretycznego i zapasem życiowych doświadczeń. Czy jednak w dostatecznym stopniu uwzględnia się konieczność wychowania sobie takich właśnie pracowników kultury, którzy z nieba nie spadną i muszą wyjść przede wszystkim z młodych szeregów, mających w psychice i kościach wojenną burzę? Lata wojny, te sześć ciężkich lat, nie przeminęły z wiatrem. Ich wynikiem obok kłębowiska wspomnień, obok bezpośrednich doznań grozy i bohaterstwa, obok wstrząsów, które w niejednej psychice przewartościowały cały dotychczasowy świat ideowy i hierarchię pojęć — są również trudne do odrobienia zaniedbania i zaległości w studiach teoretycznych u ludzi, którzy ćwiczenia intelektu i pracę piórem zamienili podczas tych lat na ćwiczenia w partyzantce i operowanie „stenem".

Myślę z żalem i smutkiem o tych wszystkich, którzy przed wojną już widzieli swą przyszłość w pracy pisarskiej, którzy okupację przeżyli w walce albo obozach, a którzy teraz, w zorganizowanym już i czynnym środowisku literackim nie mogą znaleźć stałego oparcia i szukać go muszą w urzędach i instytucjach najzupełniej obcych ich zainteresowaniom. Oczywiście ludzie ci, jeśli nawet zdobędą się na to, by od czasu do czasu dorywczo pisywać, nie będą na pewno ani idealnymi urzędnikami, ani tym bardziej dobrymi literatami. W tej sytuacji jakiekolwiek zachwianie nienaturalnej równowagi między urzędniczą świeczką i poetyckim ogarkiem może być tylko zmianą korzystną. Niech lepiej urzędnik pocztowy albo telefonistka międzymiastowa nie pisują lirycznych wierszy, bo pierwszy pomyli się w końcu w wydaniu reszty i cofną go do niższej grupy, a druga połączy w tęsknym zamyśleniu Kalisz zamiast Paryża i wywoła groźny konflikt dyplomatyczny. Z drugiej strony — niech powołane do tego i dysponujące odpowiednimi możliwościami instytucje i ludzie nimi kierujący zajmą się pisarzami, ewentualnie kandydatami na pisarzy, którzy upodobali sobie ten zawód, chcą mu się poświęcić całkowicie i — oczywiście — już reprezentują dostateczne kwalifikacje albo przynajmniej rokują nadzieje na przyszłość.

Wspomniane już braki wykształcenia, spowodowane wojenną przerwą, wymagają nadrobienia wielu godzin na salach wykładowych, w bibliotekach i miejscach spotkań przedstawicieli literatury, konfrontujących swe poglądy i w dyskusjach poddających je wzajemnej krytyce. Tylko w atmosferze pełnej koncentracji na swym naczelnym zainteresowaniu, które staje się celem życia i wypełnia je bez reszty, można odrabiać zaległości i pogłębiać wiedzę, pracując jednocześnie twórczo na polu kultury i opierając na tej pracy byt materialny.

Wierzę, że bardziej realna troska o młodych w pierwszym rzędzie entuzjastów pióra, danie im szansy próby i startu literackiego, a — po egzaminie wstępnym — trwałe związanie ich z zawodem pisarskim i zapewnienie utrzymania w skali, odpowiadającej aktualnym warunkom życiowym, postawią w krótkim czasie do dyspozycji wciąż rosnącym potrzebom na odcinku kultury nowe siły. Żywotność polskiego światka literackiego jest przecież pozorna. Zawzięte dyskusje i kłótnie na łamach pism są w większości wypadków świadomie i celowo prowokowane przez redakcje, stanowiąc materiał bardziej atrakcyjny i popularny wśród czytelników, niż rzeczowy artykuł czy wiersz. Zresztą jest to wygodne również i dla piszących. Znacznie łatwiej objeżdżać dowcipnie pana X-a z „Tygodnika" czy obywatela Y-ka z „Kuźnicy", niż napisać dobry wiersz, artykuł czy essay krytyczny. W tygodnikach literackich te same nazwiska powtarzają się do znudzenia w kilku wariantach pseudonimów, które są zresztą w szybkim czasie identyfikowane.

Potrzeba nam nowych ludzi. W pierwszym rzędzie interesujących dramaturgów, samodzielnie myślących krytyków literackich, nie wydziwiających, wrażliwych poetów, harmonizujących problematykę czy nastrój wiersza z kulturą formy, prozaików o większych ambicjach, niż reportażowe wspomnienia czy wzruszone autobiografie.

Nie można twierdzić, że tych ludzi po prostu nie ma. Trzeba pozwolić zabrać głos nowym piórom. Minie rok, dwa i ludzie ci się znajdą.

Kazimierz Winkler-Augustowski.

Pisarze Zachodu i Wschodu

(Dokończenie ze strony 1)

gnęła wiarołomnie do Unii Sowieckiej.

Inteligencja sowiecka, która zawsze była związana z myśleniem i interesami swego narodu, podzieliła z nim bez wahania trudności i niebezpieczeństwa wojny.

W czasie, gdy faszystowskie dywizje parły przeciwko Moskwie, sowieccy pisarze również opuścili stolicę. Nie wyjechali jednak w dalekie, bezpieczne kraje, ażeby tam przy pełnych stołach czekać na koniec wojny. Nie, pisarze sowieccy rzucili się w wir walki i podzielili swój los z narodem. Najlepsi poeci, prozaicy i publicyści, poświęcili się całkowicie walce o oswobodzenie ojczyzny. Walczyli piórem i bagnetem. Nie uciekali przed niebezpieczeństwami. Świadczy o tym smutna lista ciężkich strat, jakich sowiecka literatura doznała. Związek pisarzy sowieckich miał przed wojną około 3000 członków. 900 z tej liczby wstąpiło dobrowolnie do Armii Czerwonej, 240 poniosło bohaterską śmierć na polu chwały. Pośród nich wybitni prozaicy i dramaturgowie, jak Ewgenij Petrow, W. Stawskij (były przewodniczący związku pisarzy sowieckich), A. Afinogenow, J. Krymow i wielu innych znakomitych mistrzów słowa.

Czy lata wojenne i pobyt na froncie zaszkodziły pisarzom radzieckim? Co opisywała i co głosiła literatura sowiecka w ostatnich dwu latach?

Rzadko można w literaturze natrafić na takie bogactwo najrozmaitszych form literackich, jak w twórczości pisarzy sowieckich ostatnich lat. Zasięg tematyki był u nich nadzwyczaj duży. Obejmowała ona życie człowieka Sowietów na froncie i w ojczyźnie, przynosiła opisy wielkich bitew, przytaczała przykłady stałości i siły charakteru uczestników walk, rejestrowała czyny legendarnych bohaterów, ukazywała samozaparcie tych, którzy pracowali dla wspólnej sprawy w przemyśle wojennym, kołchozach i szpitalach.

Pewna ilość arcydzieł literatury sowieckiej poświęcona jest życiu obcych krajów. Powieści Ilii Erenburga „Upadek Paryża" i „Atak" opisują Francję z czasu układu monachijskiego i początku wojny i ukazują zdrajców stanu i obrońców wolności. Dramaturg K. Simonow przedstawia w swych sztukach życie w Czechosłowacji i Stanach Zjednoczonych, I. Prut opisuje Italię po upadku faszyzmu.

Zagraniczni wrogowie kultury radzieckiej twierdzą często, że idealna jedność państwa unicestwia pisarzy w ich twórczości artystycznej i odbiera im ich indywidualność.

Życie literackie ostatnich lat w Sowietach samo jest zaprzeczeniem tego wymysłu. Jakże różnorodne były dzieła sowieckich autorów, jeśli zważymy manierę, właściwości artystyczne i indywidualne osobliwości! Ognista, ostra publicystyka Erenburga, realistyczna powieść A. Fadiejewa „Młoda gwardia", gdzie dokładność opisu tak cudownie przeplata się z lirycznymi dygresjami i romantycznymi podnietami, cudownie rodzime w swym tonie wiersze Twardowskiego, które w rosyjskiej sztuce rymotwórczej stanowią dalszy ciąg rodzaju Niekrasowa i wreszcie błyszcząca konstelacja młodych sowieckich poetów lat powojennych, oryginalnych w swym stylu i tworzywie — oto tylko niektóre, przypadkowo wybrane przykłady godnego już choćby tylko z uwagi na formalne osiągnięcia bogactwa literatury dwu ostatnich lat.

Ale nieskończenie ważniejsze jest oczywiście bogactwo idei w sowieckiej literaturze, jej intelektualne nasycenie, jej namiętna pasja zajmowania stanowiska wobec wielkich historycznych i społecznych problemów, które postawił czas.

Jeden zasadniczy motyw panuje w powojennej literaturze sowieckiej i zabarwia wszystkie dobre książki, które ukazały się w ostatnich latach. Jest to motyw patriotyzmu i głębokiego humanizmu. Na nim też buduje swoją fabułę jedna z najlepszych sowieckich książek powojennych: „Młoda gwardia" Fadiejewa.

Grupa młodzieńców i dziewcząt, którzy co dopiero ukończyli szkołę, młodzież, która przez całe życie wdychała powietrze wolności i równouprawnienia, nie chce cierpieć opłakanego losu niewolników, narzuconego jej przez jarzmo niemieckiej okupacji i wypowiada walkę straszliwej, potężnej machinie hitlerowskiej policji. Po jednej stronie brutalna przemoc, nieubłagany aparat ucisku, po drugiej świadomość prawdy i wielka miłość ojczyzny. Swoją nielegalną organizację nazwała młodzież „Młodą gwardią". Jest rzeczą niemożliwą czytać stronice tej książki bez wewnętrznego wzruszenia. Setki kilometrów oddaleni od Armii Czerwonej „młodogwardziści" dali się mocno we znaki bezczelnym, butnym zdobywcom, zanim nie wpadli w ręce wroga. Z dumnie podniesionymi głowami, udręczeni torturami, ale niezłomni i nie ugięci, kroczą na miejsce stracenia. Na tym kończy się powieść.

Dzieło Fadiejewa wyraża najlepiej kierunek, w którym poruszała się literatura sowiecka ostatnich lat. Do tego kierunku zaliczymy także „W okopach Stalingradu" W. Niekrasowa i „Opowieść o prawdziwym człowieku" W. Polewoja. Bohaterowie powieści Niekrasowa są skromnymi oficerami i żołnierzami oddziałów pionierskich. Przez całe lato cofali się, przybyli pod Stalingrad i oto rzucił ich los w wir wielkiej historycznej bitwy, która stała się w wojnie przełomem. W drugim opowiadaniu zawarty jest opis prawdziwego zdarzenia z czasu wojny. Zestrzelony przez wrogów lotnik sowiecki, Meresjew, pomimo rannych nóg, czołga się w okropnym zimnie do sowieckich linii z powrotem. Chirurdzy muszą mu amputować obie nogi, ale lotnik, który nie może sobie wyobrazić życia bez walki dla swego narodu, nie daje za wygraną. Trenuje długo i uparcie, ażeby zapanować całkowicie nad swymi protezami. Gdy to po pokonaniu najróżniejszych przeszkód osiągnął, przeżywa spełnienie swego gorącego życzenia: zostaje mu znowu powierzona maszyna. Meresjew bierze udział w walkach lotniczych, udaje mu się zestrzelić niejedną jeszcze maszynę wroga, i wraca z wojny z wysokim tytułem bohatera Unii Sowieckiej.

Wymieniliśmy tylko niektóre spośród znakomitych dzieł literatury sowieckiej ostatnich lat. Liczbę ich można by znacznie powiększyć, nawet gdybyśmy się ograniczyli tylko do nazwisk pisarzy, którzy po wojnie uzyskali nagrodę Stalina. Książki te zostały po większej części napisane przez młodych autorów. Świadczy to jasno o ogromnym rozmachu twórczym literatury sowieckiej, która bez przerwy potrafi wykazywać się nowymi utalentowanymi pisarzami.

Podług W. Ch. Czerniaka opracował W. Stanisławski.

UWAGA!

Jeden z następnych numerów „Odry" poświęcony będzie kulturze radzieckiej.

DAPHNE DU MAURIER

Generał Jego

Wniespełna tydzień po zdarzeniu, które właśnie opisałam. odesłano mnie z powrotem do matki do Lanrest, najprawdopodobniej w dowód niełaski za me naganne maniery. A skoro już raz znalazłam się w domu, musiałam w nieskończoność wysłuchiwać admonicyj i pouczeń, jak panna mego urodzenia i wychowania winna się zachowywać w towarzystwie.

Pamiętam ten dzień w kilka tygodni po mym powrocie, dzień wczesno-wiosenny, który skusił mnie, by wyjść i wałęsać się markotnie wokół pewnej jabłoni, ulubionej kryjówki mego dzieciństwa. Wtedy to właśnie spostrzegłam jeźdźca, pędzącego doliną w górę ku Lanrest.

Znalazłszy się w domu, natychmiast zadzwoniłam na Matty, dziewczynę, która od paru lat usługiwała moim siostrom i mnie, a która była moją oddaną sojuszniczką. Zgadła, czego od niej chciałam, zanim jeszcze zdążyłam spytać ją o cokolwiek.

— Zaczekam w hallu, póki nie wyjdzie i dowiem się dla Waszej Miłości, kto zacz jest — powiedziała. — To taki wysoki, duży pan — piękny mężczyzna! Miał na sobie płaszcz błękitny ze srebrem.

Błękitny ze srebrem... Barwy Grenvile'ów...

Wysłałam Matty na dół, a sama z najwyższą niecierpliwością przechadzam się wzdłuż i wszerz pokoju. Zdawało mi się, że cała wieczność upłynęła, zanim Matty pojawiła się znowu. Oczy jej promieniały nowinami. Wyciągnęła spod fartuszka wymięty skrawek papieru. Rozwinęłam ten świstek ukradkiem, jak przestępca i przeczytałam:

„Droga Siostrzyczko, chociaż Gartred zmieniła Harrisa na Denysa, ja wciąż jeszcze uważam się za twojego brata i zastrzegam sobie prawo widywania się z Tobą. Twoja dobra Matka, zdaje się, jest innego zdania, twierdziła, że jesteś niedysponowana i wyprawiła mnie z domu w sposób niedwuznaczny. Nie jest mym zwyczajem jeździć 10 mil z okładem po próżnicy. Dlatego każ, proszę, swej służebnej, by zaprowadziła mnie w jakieś miejsce w pobliżu, tak, byśmy mogli przebywać ze sobą niepostrzeżenie. Mógłbym bowiem przysiąc, że nie jesteś mniej dysponowana, niż twój brat i najniższy sługa — Ryszard Grenvile."

W pierwszej chwili chciałam zostawić tę kartkę bez odpowiedzi, dlatego właśnie, że Ryszard był tak pewny mojej współpracy. Ale jednak ciekawość i bijące mocno serce zwyciężyły dumę i kazałam Matty zaprowadzić go do sadu, przykazując, by nie wiodła go tam drogą zbyt prostą, z obawy, żeby go nie ujrzał ktoś z okien domu.

Za małą chwilkę ja sama zbiegłam po schodach do ogrodu, przezornie niosąc buciki w ręce. Znalazłszy się w ogrodzie, pomknęłam, jak wicher do sadu i w niespełna parę minut siedziałam już wśród gałęzi mojej jabłoni. Niebawem usłyszałam szelest wśród drzew i oto zobaczyłam Ryszarda Grenvile, który rozsuwał kiście kwiatów, schylając się pod nawisłe nisko gałęzie. W jednej chwili wspiął się na drzewo i już był przy mnie...

To, co nastąpiło potem, było najdziwniejszymi, a w moim pojęciu najsłodszymi zalotami, jakie kiedykolwiek dane było przeżyć dziewczynie mojej epoki. Rozpamiętując je dziś, po 25 latach, kiedy wszystkie późniejsze zdarzenia złożyły się, by napełnić mój umysł wielką jasnością, patrzę na nie, jak na mglistą złudę zwiewnego snu.

Raz, a czasem i dwa razy w tygodniu przyjeżdżał do Lanrest z Killigarth, powierzaliśmy się łagodnemu kołysaniu jabłoni i tam Ryszard uczył mnie miłości. A ja odpowiadałam mu całym sercem. Miał wtedy 28 lat. Ja — 18. Te marcowe i kwietniowe popołudnia, wypełnione brzękiem pszczół i gwizdem kosa, ta wspaniała trawa, która z dnia na dzień robiła się coraz to dłuższa... Ach, zdawało się, że szczęście nie ma początku, ni końca.

Aż wreszcie któregoś dnia przyjechali z Radford moi bracia, przywożąc ze sobą Edwarda Champernowne, młodszego brata Elżbiety. Przyjazd Robina i Jo ucieszył mnie ogromnie, natomiast w żaden sposób nie bawiło mnie wymienianie greczności z tym obcym. W dodatku miał wystające górne zęby.

Później wieczorem wezwano mnie do pokoju matki. Jo był tam razem z nią, Robin także, ale Edward Champernowne odszedł już był do swej siostry.

Matka przyciągnęła mnie do siebie, ucałowała czule i rzekła, że przygotowuje się dla mnie wielkie szczęście, że Edward Champernowne poprosił o moją rękę, że ona i moi bracia już wyrazili zgodę, a teraz pozostało już tylko ustalić datę ślubu. Zdaje się, że przez cały czas patrzyłam na nich wszystkich ogłupiała, a potem zerwałam się, jak szalona, oświadczając, że nie wyjdę za niego, że wyjdę jedynie za tego, którego sobie sama wybiorę.

Wypadłam z pokoju w szale wściekłości, a znalazłszy się u siebie, natychmiast zasunęłam rygiel. Zaczekałam, aż cała nasza rodzinna trzódka uda się na spoczynek, a wtedy, zmieniwszy suknię i owinąwszy się szczelnie płaszczem, chyłkiem wykradłam się z domu. Miałam tylko jeden, jedyny, naiwny plan: ni mniej, ni więcej, tylko zajść przez noc do Killigarth, to znaczy — do Ryszarda. Noc i droga zdawały się nie mieć końca: Odgłosy i szepty wsi napełniały mnie trwogą. Ale kiedy nadszedł ranek znalazłam się przed jego domem i jak złodziej stanęłam pod oknami. Uderzyłam w dzwonek i usłyszałam, jak dźwięczne echo rozchodzi się po domu.

— Ryszardzie! — zawołałam — Ryszardzie! To ja, Honorata!

Wyszedł do mnie z wyrazem zdziwienia na twarzy.

— O co chodzi? Co się stało? — spytał szybko, a ja, nagle osłabła i niemal całkowicie wyczerpana, padłam w jego ramiona.

— Chcą mnie wydać za Edwarda Champernowne! — wyjąkałam. (Jakże głupio zabrzmiało moje nieprzemyślane wyznanie!) — A ja im odpowiedziałam, że nie zrobię tego za nic i wędrowałam tu całą noc, żeby ci to oznajmić.

— To wszystko? — spytał. — I szłaś tu 10 mil z okładem, żeby mi to oznajmić? Oh, Honorato, moje kochane maleństwo, moja ty najdroższa! Nie sądzisz chyba, żebym mógł dopuścić do śmiesznej rywalizacji z Edwardem Champernowne!

— Jedyny mój — rzekłam, czując się nagle bardzo stara i bardzo mądra. — Mówiłeś mi nieraz, że musisz się ożenić z jakąś możną panią, bo inaczej nie wyobrażasz sobie życia.

— Życie nie miałoby dla mnie żadnej wartości, gdybyś ty była żoną innego — odparł.

— Jestem najmłodszą córką, Ryszardzie — powiedziałam z wahaniem. — Musisz się liczyć z tym, że moja część będzie bardzo niewielka.

Na to Ryszard wybuchnął głośnym śmiechem i unosząc mnie w ramionach, wszedł ze mną do domu.

— Zależy mi jedynie na tobie samej — rzekł. — Niech licho porwie wszystkie „części"!

* * *

O, szalone zaręczyny, szybkie i zdumiewające, postanowione w jednej chwili, obalające wszelkie przeszkody, tak, jak pożar obala puszczę! Matka, bezbronna wobec naszego ataku, bracia nie zdolni do stawienia oporu. Champernowne'owie, obrażeni, wycofali się do Radford, a Jo, umywając ode mnie ręce, odjechał razem z nimi.

Rewolucji Październikowej

patetyczna

jak świecąca rakieta, co wyżej wzleciała,
niż obliczył konstruktor. Starzec głuchy, ślepy
powtarzam jak katechizm wieku mego imię.

Nie. Ja nie jestem starcem. Ja na barykadzie
konałem w pierś trafiony bratobójczą kulą.
Dziewczyna biały muślin kwiecistej sukienki
rwała na pierwszy bandaż i na ranę kładła
dłonie, jak płatki rumianków przejrzyste.
Barykada uczyła mnie męstwa i bólu.
Płakałem na cel biorąc ojca mego rękę
uzbrojoną granatem.

Trzeba było krwi tej,
abym mógł sławić w pieśni młodości mej patos
zapatrzony w swą wizję ponad barykadą,
zasłuchany w kul świergot — rodzące się życie.

Nie, ja nie jestem starcem, który czas swój prześnił.
Krew w moich żyłach krąży, jak śpiew z barykady.
Jak dzwonnik chcę rozdzwonić serca wam współcześni,
aby nie wątpił z was żaden.

Tłum.: Małgorzata Stanisławska

Królewskiej Mości

W takim to momencie ogólnego zamieszania, przyjechał do Lanrest Bevil, brat Ryszarda, i ze zwykłym swym wdziękiem i ogładą nalegał, bym się udała do Stowe i wzięła ślub z domu Grenville'ów. Bevil wniósł nieco ładu i porządku w panujący chaos. Jego zgoda nadała całej sprawie posmaku przyzwoitości i oto po paru dniach przygotowań matka i ja wyjadowałyśmy bezpiecznie w Stowe.

Ryszard nie wiele ze mną przebywał. Twierdził, że kobiety mają do mnie pierwszeństwo w tych ostatnich dniach mego panieństwa. Z czasem i tak będziemy mieli siebie pod dostatkiem. W tych ostatnich dniach przed ślubem krył się istny bezmiar proroctw i przepowiedni...

Nic nie wyłania mi się z mgły przypomnień, prócz tego ostatniego majowego popołudnia. Znów wiele gości, zebranych na trawnikach na wszystkich, jak się wybieramy na polowanie z sokołem, gdyż bankiet wieczorny miał być poprzedzony popołudniem, poświęconym łowom.

Ryszard pomógł mi wsiąść na małą kasztankę, która odtąd miała być moją własnością. Gdy się odwrócił, by zmienić parę słów z sokolnikiem, obejrzałam się także przez ramię i zobaczyłam zgromadzenie jeźdźców, który się zebrał przy bramie, by powitać kogoś, kto właśnie nadjeżdżał.

— Cóż tam znowu? — spytał Ryszard.

Sokolnik, osłaniając ręką oczy od słonecznego blasku, zwrócił się do swego pana z uśmiechem.

— To Jej Łaskawość pani Denys z Orley Court. — powiedział. — Teraz Wasza Mość będzie mógł zmierzyć swego rudego sokoła z jej jastrzębiem.

Ryszard spojrzał na mnie i uśmiechnął się.

— Więc ostatecznie stało się i to — powiedział. Gartred zdecydowała się nas odwiedzić.

— Witaj, siostro! — zawołał, w głosie jego zabrzmiała dawna nuta drwiny. — Przyjechałaś jednak potańczyć na moim weselu!

— Być może — odrzekła. Podjechała do mnie tuż, tuż, z tym leniwym uśmiechem na ustach, który dobrze pamiętałam. — Jakże się miewasz, Honorato?

— Zupełnie dobrze — odparłam.

— Nigdy bym nie pomyślała, że będziesz kiedyś nosiła nazwisko Grenville'ów.

— Ja także nie.

— Gdzie jedziemy? — spytała, zwracając się do Ryszarda.

— W pola, w kierunku wybrzeża — odrzekł.

Przez moment wahałam się, czy by nie zostać w domu, tłumacząc się zmęczeniem. Lubiłam jeździć konno dla samej przyjemności jazdy, a nie po to, by patrzeć na rzeź; a polowanie z sokołem nie należało wcale do moich ulubionych rozrywek.

Gartred musiała zauważyć moje wahanie, bo roześmiała się i rzekła:

— Twoja oblubienica traci odwagę. Szybkość będzie zbyt duża, jak na nią.

— Co takiego? — spytał Ryszard, a cień padł mu na twarz. — Jedziesz chyba z nami, prawda?

— Ależ tak, naturalnie! — odrzekłam szybko. — Chcę przecie zobaczyć, jak upolujesz mi czaplę.

Ryszard osłonił ręką oczy od słońca i spojrzał ku zachodowi. Długi pas wrzosowisk rozciągał się przed nami, dzikie i nie równy, a za nim leżało bagno, nie zbyt szerokie, ale grząskie.

— Wypróbujemy mojego konia przeciw twojemu i mojego rudego sokoła przeciw twojemu jastrzębiowi — rzekł nagle Ryszard do Gartred. Mówiąc to, zerwał kaptur z głowy swego sokoła i rzucił ptaka w powietrze, równocześnie spinając boki konia ostrogami. Nie minęło dziesięć sekund, jak Gartred zebrała się w sobie, jej szaroskrzydła peleryna załopotała w słońcu i razem z Ryszardem pomknęli przez wrzosowisko ku bagnu. Dwa sokoły, niby czarne punkty widniały na niebie ponad nimi. Moja klacz, podniecona tętentem kopyt swych towarzyszy, poniosła mnie, nieraz wyrywając mi ręce ze stawów i popędziła w szalonej pogoni za końmi, które galopowały przed nami. Ujadanie psów i krzyki sokolników dawały jej bodźca do jeszcze dzikszego cwału. Moja ostatnia jazda... Oczy pełne słońca, wiatr, smagający mi twarz, poruszające się pode mną ciało klaczy, grzmot jej kopyt po ziemi, zapach ściółczego zamorca, odległy szum morza... Niezapomniana jazda niczym nie zatarta, która utkwiła mi w duszy na zawsze!...

Nagle z poza bagna na wprost nas podniosła się czapla, szeroko rozpościerając swe ogromne, szare skrzydła. Dobiegł mnie okrzyk Ryszarda i w odpowiedzi mu okrzyk Gartred, a za małą chwilę sokoły niebawem także spostrzegły swą ofiarę, gdyż zaczęły zataczać kręgi ponad czaplą, wzbijając się coraz wyżej i wyżej.

Usiłowałam powstrzymać klacz, ale nie mogłam jej powstrzymać. Gartred i Ryszard zwrócili się też ku wschodowi i galopowaliśmy z tak piersi, we troje, w kierunku niewielkiego kręgu głazów w środku wrzosowiska, ku któremu teren łagodnie się wznosił.

— Uważaj na parowiec! — krzyknął mi Ryszard w ucho, wskazując kierunek szpicrutą, ale przemknął koło mnie, jak wicher, tak że nie zdołałam mu nic odpowiedzieć.

Usłyszałam triumfalny okrzyk Gartred: — Zwarli się! Zwarli się! Mój sokół jej dopadł! — i zobaczyłam widoczną wyraźnie pod słońce sylwetkę jednego z sokołów, wczepionego w pierś czapli. Zataczając się, spadali w dół ku ziemi, nie dalej, jak 200 jardów przed nami.

Usiłowałam skierować klacz w bok, ale to ona mną władała, więc gdy Gartred mijała mnie, zawołałam: — Gdzie jest przepaść? Gartred jednak nic nie odpowiedziała. Leciałam wciąż naprzód, a słońce oślepiało mnie całkiem. Z ciemniejącego nieba spadła śmiertelnie ranna czapla i całkiem z krwią sokół, wprost w urwisko, które ziejąc otwarło się także i przede mną. Lecąc w dół usłyszałam krzyk Ryszarda i śpiew tysięcy głosów, który wypełnił mi uszy...

Tak więc ja, Honorata Harris z Lanrest zostałam kaleką. Jestem pozbawiona zupełnie władzy w nogach. Od owego wypadku, aż po chwilę, w której piszę te słowa, to znaczy od 25 lat, żyję leżąc na wznak, albo siedząc w fotelu. Od dwudziestu pięciu lat nie deptałam ziemi. Przeto, gdyby kto był zdania, że kaleka nie nadaje się na bohaterkę opowieści, powinien by w tym momencie zamknąć kartki książki i zaniechać czytania. Nie ujrzy mnie już bowiem poślubioną temu, którego kochałam, ani piastującą jego dzieci. Może się jednak dowiedzieć o tym, że miłość ta nigdy nie osłabła a dziwne jej koleje z biegiem lat czyniły nas dla siebie jeszcze droższymi i bardziej sobie oddanymi, niż gdybyśmy nawet żyli w małżeństwie. Dowie się także czytelnik o tym, jak wprowadzona w niemoc odegrałam główną rolę w dramacie, który się rozwinął dziesięć lat później, tragedii, że będąc skazana na życie w stałym bezruchu, widziałam w sobie niezwykłą spostrzegawczość, a samo Przeznaczenie narzuciło mi rolę świadka i sędziego.

(C. d. n.)

ZDZISŁAW OBRZUD

We francuskiej strefie okupacyjnej Niemiec

Pod sztandarem trójkolorowym

Strefa okupacyjna francuską obejmuje: południową część Nadrenii wraz z Palatynatem i Zagłębiem Saary, większą część Badenii — mniejsza należy do strefy amerykańskiej — i mniejszą, południową, część Wirtembergii — większa jest w strefie Stanów Zjednoczonych. Obejmując w zarząd część zachodnich Niemiec, mieli Francuzi cztery cele na oku: trzy bliższe i jeden na dalszą metę. Po pierwsze, chcieli odzyskać choć część urządzeń, przedmiotów użytku i dzieł sztuki, które administracja hitlerowska i oddziały wojska niemieckiego zrabowały w czasie okupacji Francji, i wyciągnąć odszkodowanie za straty swego gospodarstwa i majątku narodowego. Po drugie, chcieli otrzymać jak najwięcej węgla z Zagłębia Saary, potrzebnego do uruchomienia swego przemysłu i odbudowy kraju. Po trzecie, odbudowując i rozbudowując sieć kolei żelaznych, chcieli umożliwić ważny dla Francji tranzyt z Czechosłowacji i Austrii, Danii i Holandii przez Zagłębie Saary. Celem czwartym, dalszym, ale najważniejszym i zasadniczym, była ogólna kontrola nad powierzonym sobie obszarem zachodnich Niemiec i przygotowanie takiego rozstrzygnięcia zagadnienia niemieckiego, które by uniemożliwiało szybką odbudowę niemieckiego przemysłu wojennego w celach nowej wojny, rewanżowej i zaborczej. W roku 1945 wysuwali Francuzi tzw. „projekt federalny", który planował podział Niemiec na kilka państw, luźną tylko federacją złączonych, i wcielenie Zagłębia Saary do Francji. Nauczeni doświadczeniami dwóch wojen światowych, pragnęli zapobiec temu, aby przemysł Zagłębia Ruhry i Saary posłużył znowu całym Niemcom jako potężny zbiornik potencjału wojennego. Z czterech celów powojennej polityki francuskiej w stosunku do Niemiec tylko jeden udało się w całości osiągnąć: w krótkim stosunkowo czasie umożliwiono handel tranzytowy przez Zagłębie Saary. Pierwszy cel osiągnięto tylko częściowo: tylko pewna część urządzeń technicznych i przedmiotów użytku, oraz wiele dzieł sztuki wróciło do Francji. O płaceniu odszkodowań przez Niemców nie ma mowy, a sprzymierzeńcy i oswobodziciele anglosascy przyznają Francuzom dużo mniejszy kontyngent węgla niż ten, którego oczekiwali. Amerykanie nie chcą dzielenia Niemiec na kilka państw, ani państwa związkowego, czy związku państw, bo podzielili już sami Niemcy na wschodnie, pod kontrolą ZSRR, i zachodnie, które uważają za domenę swoich niepodzielnych wpływów, a dzisiejszym ich celem: eksploatacja całego europejskiego zachodu przez spekulantów z U. S. A. Sowiety sprzeciwiły się projektom francuskim z innego powodu: Związek Radziecki reprezentuje ideę niedzielonych, jednolitych Niemiec, bo uważa, że w zjednoczonych Niemczech łatwiej wychować naród w duchu demokracji ludowej, a w Niemczech podzielonych i rozczłonkowanych powstaną silne dążności do zjednoczenia, fanatyczny nacjonalizm i plany zemsty.

Francuzów, którzy, podobnie jak my w roku 1939, przegrali wojnę w roku 1940, dopuszczono do zarządu okupacyjnego Niemiec, ale rychło zaczęto lekceważyć ich stanowisko i najżywotniejsze interesy. Państwa anglosaskie lekceważą prawo moralne do pierwszej pomocy tych narodów, które najwięcej cierpiały od hord Hitlera. Ogółowi niemieckiemu imponuje tylko siła militarna i gospodarcza. Motłoch dzisiejszych Niemiec, od wielkiego fabrykanta broni i docenta chemii, który obmyśla środki mordowania ludzi, do parobka w zapadłej górskiej wiosce, kłania się bombie atomowej i dolarowej. Tylko cienka warstwa co szlachetniejszych intelektualistów i moralistów niemieckich, prawdziwych „patriotów kultury", którzy w każdym kraju i pod każdą szerokością geograficzną są tacy sami, uznaje wartość sztuki i literatury francuskiej, potrafi nawet kochać sztukę Francuzów i lubować się w ich dowcipie i smaku artystycznym. Francuzi dzisiejsi nie przodują w produkcji bomby atomowej i nie mają dużo dolarów, toteż Zarząd Wojskowy Francuskiej Strefy Okupacyjnej *(Gouvernement Militaire de la Zone Française d'Occupation)* bardzo trudne ma zadanie. A jednak, mimo wszystkich trudności i ograniczeń środków materialnych, poważne może zanotować osiągnięcia. Wystarczy porównać odbudowę i rozbudowę sieci kolei żelaznych w strefach: amerykańskiej i francuskiej, aby dojść do takiej konkluzji.

Strefa amerykańska jest mniej więcej $2\frac{1}{2}$ razy większa niż strefa francuska i posiada ludność prawie trzy razy liczniejszą. Zniszczenia sieci kolejowych, straty w uszkodzonych i całkiem zniszczonych wozach i lokomotywach, torach i mostach, były tu mniejsze niż w strefie francuskiej. Technicy i administratorzy z U. S. A. rozporządzali dużo większą ilością urządzeń technicznych i narzędzi potrzebnych do odbudowy sieci kolejowej w swej strefie niż Francuzi na swoim terenie, i posiadali dużo większe możliwości finansowe. A jednak rzeczowa analiza cyfr statystycznych, tyczących się rozwoju sieci kolejowych w obu strefach prowadzi do wniosku, że *Francuzi, w gorszej sytuacji się znajdując, do lepszych stosunkowo doszli wyników niż potężni sprzymierzeńcy zza oceanu.* Słusznie stwierdza sprawozdawca czasopisma *„La France en Allemagne"*, wydawanego przez Wojskowy Zarząd Francuskiej Strefy Okupacyjnej, w numerze z stycznia i lutego r. 1947, że, jeżeli chodzi o kolejnictwo, porównanie stref: amerykańskiej i francuskiej jest korzystne dla tej ostatniej, która, wyszedłszy z sytuacji dużo gorszej niż strefa amerykańska, doszła w tym samym czasie i przy bardziej ograniczonych środkach do wyników, jeżeli uwzględnimy wszelkie proporcje, bardziej zadowalających.

Ogólne zatrudnienie ludności strefy francuskiej, jej siła ludnościowa i wytwórczość przemysłowa od stycznia r. 1946 wykazują stałą tendencję zwyżkową i całe życie gospodarcze i kulturalne tej strefy w roku bieżącym znamionuje znaczny postęp. Udowadniają to dane statystyczne i wykresy dołączone do dwumiesięcznika „La France en Allemagne". W przeciągu roku 1946 wzrosła liczba małżeństw i urodzin, a zmniejszyła się ilość poronień i zgonów dziecięcych. Liczba zatrudnionych robotników najemnych wzrosła od 1 listopada roku 1946 do 1 stycznia 1947 z 675.000 na 693.000, a w ciągu dalszych miesięcy r. 1947 stale wzrasta. *Wytwórczość przemysłowa wykazuje stały wzrost, przy czym przoduje wydobycie węgla kamiennego, którego cyfry wydobycia przejawiają tendencję do zbliżenia się do stanu z roku 1938.* Osiągnięta na ogół stabilizacja cen świadczy o celowości wysiłków władz zarządu wojskowego i władz cywilnej administracji niemieckiej, pracujących w myśl dyrektyw Gouvernement Militaire.

Poważne wyniki osiągnięto w dziedzinie kultury i oświaty. Zorganizowano szkolnictwo wszystkich stopni i pobudzono życie naukowe. Zaczęły znowu działać teatry i odrodził się film. Grano także filmy francuskie, z których dwa miały wielkie powodzenie. Dnia 18 lutego r. 1947 administrator generalny strefy okupacyjnej francuskiej, Laffon, ogłosił statut nowo otwartego uniwersytetu w Moguncji, który ma służyć „obiektywnej nauce i wszystkim narodom". Czyniono wysiłki celem zbliżenia do siebie obu narodów: francuskiego i niemieckiego na polu współpracy kulturalnej i przez wzajemne poznanie się. Założono *Instytut Francuski* we Fryburgu i trzy „ośrodki studiów francuskich" *(les centres d'études françaises)* w Moguncji, Trewirze i Tübingen. Wszystkie te cztery instytucje mają zapoznawać Niemców z kulturą i twórczością



Obraz strefy okupacyjnej francuskiej i sektoru franc. Berlina

francuską. Wybitni intelektualiści francuscy wygłosili odczyty o literaturze francuskiej w Moguncji, Trewirze, Fryburgu i Tybindze, przy czym po odczycie zwykle następowała dyskusja. Hrabina de Pange mówiła w Moguncji na temat: „Pani de Stael nieznana". Albert Béguin, profesor literatury francuskiej w Genewie, wygłosił we Fryburgu, w obecności około 300 słuchaczy, i w Moguncji wykład pt.: „Wiosna chrześcijańska w literaturze francuskiej XX w.", a w ośrodku studiów francuskich w Tybindze mówił na temat: „Gérard de Nerval i Niemcy". Wszystkie „conférences" genewskiego profesora przyjęte zostały z żywym zainteresowaniem i wywołały interesującą dyskusję. We Fryburgu brał udział w „konferencji" sporo osób z miejscowych sfer uniwersyteckich i duchowieństwa. Béguin mówił o pisarzach w Niemczech dotychczas prawie nieznanych. Niemieckich słuchaczy przyciągnęła, poza interesującym tematem, sama osoba prelegenta, którego ostatnia książka o Niemczech i artykuły o sprawie niemieckiej wywołały swojego czasu rozdrażnienie w fryburskich kołach uniwersyteckich. Profesor uniwersytetu w Caen Angelloz wygłosił we Fryburgu, Moguncji, Tybindze, Trewirze i w dwu małych miasteczkach prelekcję w języku niemieckim pt. „Romain Rolland i Niemcy". We Fryburgu audytorium składało się z około 800 osób, wśród których byli także robotnicy. Prelegent analizował ewolucję myśli autora „Jana Krzysztofa" o Niemcach w ciągu blisko półwiecza, ilustrując swoje wywody umiejętnie wybranymi dokumentami, z których niektóre to jeszcze inedita. Profesor literatury niemieckiej w Sorbonie, Raphael, mówił w Moguncji o Karolu Pégny.

Zarząd strefy wielkie nadzieje wiązał z rozwojem radia, które pod naczelnym kierownictwem francuskim miało odegrać ważną rolę w dziele demokratycznego wychowania Niemców. Oto krótka historia rozwoju służby radiowej w strefie francuskiej:

14 października 1945 r. uruchomienie stacji nadawczej w Koblencji, 4 KW, emisja lokalna;

17 marca 1946 r.: oddanie do użytku stacji w Saarbrücken, 2 KW, emisja lokalna;

31 marca 1946 r.: inauguracja sieci „Südwestfunk" oraz uruchomienie stacji nadawczej we Fryburgu (10 KW) i w Baden-Baden (1 KW, fale krótkie);

9 lipca 1946 r.: oddanie do użytku stacji w Kaiserslautern (0,5 KW);

15 września 1946 r.: przeniesienie centrali sieci *Südwestfunk* ze Strasburga do Baden-Baden;

15 listopada 1946: uruchomienie stacji nadawczej w Sigmaringen (5 KW), zsynchronizowanej ze stacją fryburską;

25 stycznia 1947 r.: oddanie do użytku wielkiej stacji nadawczej w Koblencji (50 KW).

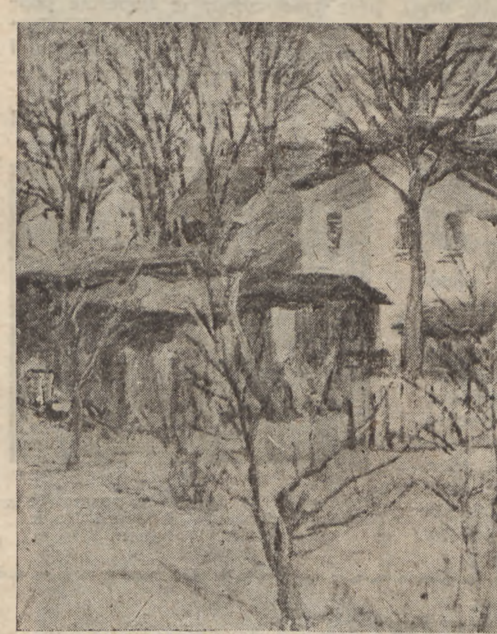
Uroczyste otwarcie znacznie wzmocnionej, wielkiej stacji nadawczej w Koblencji przez generalnego administratora Laffona poprzedziła wystawa radiowa, świetnie pomyślana i z wielkim smakiem urządzona w malowniczym budynku Starego Zamku („Alte Burg"). Wystawa ukazała etapy odkrywania radioelektryczności i jej zastosowania w radiofonii. Nazwiska i postacie różnych badaczy i wynalazców miały na celu ukazanie międzynarodowego charakteru wiedzy i zagrzanie do współpracy intelektualnej i wzajemnego poznania się narodów. Sporo miejsca zajęły eksponaty, ilustrujące zniszczenie sieci radiowej francuskiej przez cofające się w roku 1944 wojska niemieckie, wspaniały wysiłek odbudowy tej sieci i audycje w języku niemieckim, nadawane przez studia paryskie. W swoim inauguracyjnym przemówieniu podkreślił generalny administrator Laffon znaczenie uczciwej radiowej służby informacyjnej w tym kraju nadreńskim, w którym przez tyle lat uprawiano namiętnie i systematycznie zarazem propagandę najdzikszego egoizmu narodowego i kłamstwa i zatruwano duszę jadem nienawiści. Nie zmilczał, że po spustoszeniach szalonej edukacji hitlerowskiej praca nad wychowaniem społeczeństwa niemieckiego w ideach równości i braterstwa narodów będzie długa i trudna.

Zdzisław Obrzud.

Wystawa w Olsztynie

Najżywotniejszym problemem w malarstwie był i jest kolor. Stąd określono go jako przynętę dla oka, poprzez którą malarz wyraża jeszcze inne wartości, naturalnie leżące w granicach spostrzeżeń wzrokowych. Wartości te są nieodłącznie zespolone z każdym dojrzałym dziełem. Obraz zatem stanowi dla widza splot szeregu różnorodnych elementów, połączonych przez artystę w jedną logiczną całość. Od czasów impresjonizmu — problemat koloru stał się czynnikiem o specjalnym i autorytywnym znaczeniu. Jego ważkość — oraz w rezultacie samodzielność — została spowodowana dzięki idei nowego malarstwa, a nakreślonego przez następców, względnie kontynuatorów impresjonizmu. Stąd na poczet tamtego okresu kłaść należy — z niego genetycznie się wywodzące — nowe aktualne zagadnienia plastyczne, a tak pasjonujące współczesne pokolenie.

Problemat koloru patronuje i poczynaniom malarskim wystawy olsztyńskiej. Biorą w niej udział artyści zrzeszeni w Z. Z. P. A. P. Okręgu Gdańskiego. Pośród wystawiających spostrzegamy nie tylko nazwiska oddanych pracy pedagogicznej w Wyższej Szkole Sztuki



Wł. Lam: Pejzaż (olej w tekturze)

Plastycznej w Sopocie i Politechnice Gdańskiej, ale i „niezatrudnionych".

Prace wystawiających artystów biorą swój pretekst kolorystyczny przeważnie z natury. Dla autorów wystarcza najzupełniej motyw martwej natury czy temat pejzażowy. Zatem do rzadkości należy tutaj, studium głowy albo postać ludzka. Stwarza to dla wystawy pewien tematycznie jednolity przegląd, spowodowany właśnie brakiem śmielszych zagadnień, nieodłącznie związanych wokół form człowieka. Wśród wystawionych prac obrazy J. Wodyńskiego oraz A. Kobzdeja, stanowią jedyne wyjątki. Ich „tematyka" czerpie swój pretekst malarski z zagadnień „ludzkich", choć pierwszy z wymienionych, traktuje swoje „studium portretowe" jako swego rodzaju „martwą naturę". Sprawa, wzmiankowanej monotonii tematycznej, jest nagminną cechą dla wszystkich u nas wystaw.

W tych wstępnych rozważaniach wyłączono celowo grafikę, jako typ wyspecjalizowany w zupełnie odrębną dyscyplinę. Jest ona wykonywana przez artystów oddanych jej całkowicie, a zatem nie wykazuje poważniejszych tendencji do wkroczenia w zakres zagadnień malarskich. Przyczyna tkwi w tym, że artyści są li tylko jej oddani.

W tym szkicowym omawianiu wystawy olsztyńskiej celowo ograniczono się do wybranych pozycji, rezygnując z opisu wszystkich tutaj wystawionych prac.

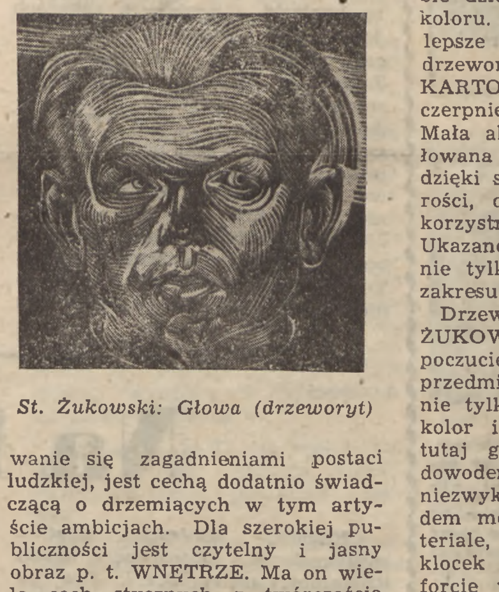
Na czoło wysuwa się J. WODYŃSKIEGO: MARTWA NATURA. Jej walory malarskie zasadzają się na przetransportowaniu wycinka natury w określoną całość kolorystyczną. Kolory zużyte na jej wymalowanie czynią wrażenie pewnej szarości. W samej rzeczy wtopiono tutaj również zestawienie żółtego z niebieskim. Kontrasty te, bez zburzenia założenia, ożywiły tylko w wybitnym stopniu ogólną tonację barwną. Stworzono w ten sposób indywidualną i jednolicie ściszoną harmonię, osiągając własny świat, w którym pomieszczono kwiaty, owoce i wnętrze. Osiągnięcie to wyróżnia je wydatnie od wspomnianego na wstępie STUDIUM PORTRETOWEGO, — gdzie zamierzenie nie zostało tak dalece konsekwentnie przeprowadzone, aczkolwiek nie jest ono pozbawione wielu zalet.

WŁ. KRÓLIKIEWICZ nie posiada jednolicie wytrzymanych prac. Za najlepsze uznać trzeba bezwzględnie obraz KLONY GDYŃSKIE. Subtelna szarawa gama kolorystyczna tego pejzażu świadczy jak najlepiej o kulturze plastycznej, reprezentowanej przez autora. Należy on do najlepszych, wśród wystawionych przez Okręg Gdański, prac. Inny natomiast pejzaż nie posiada tak konsekwentnie przeprowadzonej barwy, a zatem, nie przekonywuje jako całość plastyczna.

Obrazy J. WNUKOWEJ noszą piętno dużego temperamentu malarskiego. Jej MARTWA NATURA śmiało została ujęta za pomocą żywych barw. W innej pracy p. t. PORT, artystka pokazała swe możliwości w osiąganiu innych zestawień barwnych. Pejzaż ten został rozwiązany w ściszonej szarawej tonacji, wykonanej bliskimi i półtonowymi zestrojami barw. Morze złączone zostało tutaj ze sztafażem okrętów w jedną całość, o przekonywającej prawdziwości. — Osobiście uważałbym go za lepszy od martwej natury.

Szkoda, że WŁ. LAM wystawił zaledwie jeden niewielki PEJZAŻ. Nie zezwala on na żadne szersze wnioskowanie. Obraz ten pozwala jednakowoż stwierdzić nam, iż autor zdołał osiągnąć nowe kręgi malarskie. Jest on w znacznej mierze różny od przedwojennych prac tego artysty, choć wywodzi go, w sposób konsekwentny, z poprzedniego okresu. Nowe to osiągnięcie jest jego nadbudową. Wizja pejzażu jest tutaj mocna, choć oko percepuje wrażenie przygaszonej tonacji barwnej, a mimo to kolor posiada swe nasycenie.

W pracach A. KOBZDEJA spotykamy się ze znaczną rozpiętością „użytkowania natury". Intereso-



St. Żukowski: Głowa (drzeworyt)

wanie się zagadnieniami postaci ludzkiej, jest cechą dodatnio świadczącą o drzemiących w tym artyście ambicjach. Dla szerokiej publiczności jest czytelny i jasny obraz p. t. WNĘTRZE. Ma on wiele cech stycznych z twórczością Wł. Lama i jest raczej produktem pewnego „akademizmu". Następne dwie prace wkraczają w abstrakcjonizm. Operuje on w nich naturą swobodnie, tak pod względem kolorystycznym jak i formy. Jednakowoż kompozycje te, a zwłaszcza jedna z nich (nr kat. 9), nie są pozbawione realnych i ciekawych rezultatów.

H. ŻUŁAWSKA-JASIŃSKA — transponowuje naturę w sposób niejednolity plastycznie. Za najbardziej zwarty uznać należy MARTWĄ NATURĘ III, gdzie uzyskano, tak pod względem koloru jak i formy, interesujący wynik.

Poza wymienionymi wystawili ciekawe prace olejne: Michałowski, Żuławski, Różańska, Śramkiewicz oraz akwarele: Koniuszewska i Zabłocka.

Na karb przeoczenia jury wystawy, odnieść należy istniejącą tutaj dysproporcję pomiędzy malarstwem i grafiką. Zdaniem naszym pokaz grafiki, dokonany przez znaczne uszczuplenie samego malarstwa, nie daje wyraźnego obrazu o sztuce Wybrzeża. Na wystawie grafik ST. ROLICZA było zbyt wiele, uważamy, że kosztem swych kolegów. Grafika ta jest jasna i czytelna dla przytłaczającej ilości widzów i stąd — ze względów dydaktycznych — jej problem jest zastanawiający. Prace bowiem wykazują precyzję kreski i to zarówno rytowanej czy trawionej w metalu, bądź ciętej w drzewie. Są one jednakowoż wielokroć zbyt „graficzne"; t. zn. ograniczone do kultu suchej kreski. Wiemy z historii, że grafika czerpała z pokrewnej sobie dziedziny: malarstwa, a więc koloru. ST. ROLICZ posiada najlepsze bezsprzecznie rezultaty w drzeworytach n. p. KOPANIE KARTOFLI oraz w motywach zaczerpniętych z architektury Wilna. Mała akwaforta pejzażowa zatytułowana PRZEDMIEŚCIE WILNA, dzięki swej bezpośredniości i szczerości, odróżnia się nieporównanie korzystnie od tylu innych prac. Ukazano tutaj inne możliwości, a nie tylko zacieśnione do wąskiego zakresu kreski.

Drzeworyty oraz akwaforty ST. ŻUKOWSKIEGO charakteryzuje poczucie malarskości rytowanego przedmiotu. Kreska jego jest czuła nie tylko na światłocień, ale i na kolor i subtelności. Wystawione tutaj główki są najlepszym tego dowodem, choć są wykonane w niezwykle ograniczonym pod względem możliwości technicznych materiale, jakim jest niewątpliwie klocek drzeworytniczy. W akwaforcie widzimy przede wszystkim operowanie kontrastami, wywiedzionymi z przeciwstawień silnie wytrawionego pierwszego planu i słabo zaznaczonego dalszego planu. W tym samym duchu utrzymane są akwaforty B. ROGIŃSKIEGO.

W całości wystawa olsztyńska — poza drobnymi uchybieniami, posiada jednolicie wyrównany poziom. Artystów cechuje poczucie odpowiedzialności wobec natury oraz subtelność w operowaniu zestawieniami barwnymi. Ogólna tendencja zmierza w kierunku uszczuplenia gamy kolorystycznej, do bliskich barw oraz półtonów. Wszystko to świadczy dodatnio o Okręgu Gdańskim Z. Z. P. A. P.

Należy przypuszczać, że nie pokazano prac najlepszych. Wynikło to zapewne z powodu równolegle z Olsztynem odbywających się wystaw w Sopocie, Szczecinie i Kwidzyniu. Z tych miast Olsztyn stanowi dla artystów pewną „terra incognita". Błędne to mniemanie winno być jak najrychlej rozwiane przez samych artystów. Żałować należy, że nie wystawiono żadnej z prac Strzałeckiego, Studnickiego czy Nacht-Samborskiego oraz innych, nie wspominając o rzeźbiarzach. Prace te zapewne dopełniłyby nasz niekompletny obraz, odnośnie twórczości artystycznej Wybrzeża.

Hieronim Skurpski



St. Rolicz: Przedmieście Wilna (akwaforta)

Ruch wydawniczy



Dzieje tej jedenastki Klapaczów, która zdobyła mistrzostwo świata w piłce nożnej, opisuje czeski pisarz Eduard Bass w książce „Klub jedenastu", którą w tłumaczeniu Zdz. Hierowskiego wydała katowicka „Awir" (Stron 138).

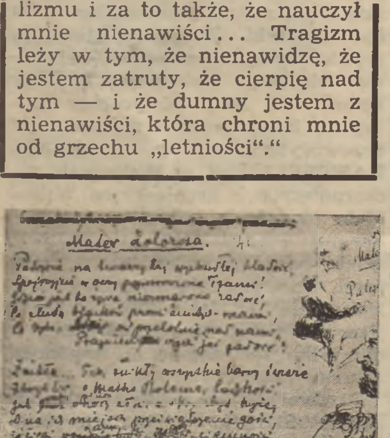
*

Tymczasem los Niemiec spełniał się dzień po dniu. Wieczorami od wschodniej strony dochodził huk artylerii, z początku było to ledwo słyszalne, jakby wyginanie się cienkiej ściany zawieszonej w powietrzu, z czasem przeszedł w regularną, stłumioną młockę, jaką się słyszy jesienią od wsi wyposażonej w gliniane klepiska. Górą płynęły bez przerwy samoloty huczące jak druty telegraficzne, czasem kilka z nich odbijało się od stada i zaczynało grać jak podrażnione osy, wtedy gdzieś w pobliżu nas sypały się bomby niczym kamienie z worka, a kolumna czarnego dymu wyrastała pod niebo, formując u szczytu głowicę uginającą się pod ciężarem nieba.

Fragment z Kornela Filipowicza zbioru opowiadań „Krajobraz niewzruszony", który ukazał się nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik" (Stron 210).

*

Wspaniałego essayistę przypomina nam wydana w Rzymie 1947 r. nakładem Instytutu Literackiego książeczka „Portret Kanta i trzy essaye o wojnie" (stron 98) — Bolesława Micińskiego. Urodzony 23. 4. 1911 na Podolu, od wczesnej młodości wychowuje się w atmosferze literackiej. W roku 1932 wydaje tom wierszy „Chleb w Gethsemane". Uczeń prof. Tatarkiewicza oddaje się studiom filozoficznym, których owocem jest także rzymska książka. W r. 1937 wychodzi jego zbiór essayów „Podróże do Piekieł". W czasie wojny osiada w Grenoble, gdzie umiera 20 maja 1943 ze słowami „Bo nie ma nic nad rzeczywistość". W jednym z essayów zwierza się: „Nienawidzę totalizmu i za to także, że nauczył mnie nienawiści... Tragizm leży w tym, że nienawidzę, że jestem zatruty, że cierpię nad tym — i że dumny jestem z nienawiści, która chroni mnie od grzechu „letniości"."



Jan Kasprowicz: Mater dolorosa, rękopis. Z wrocławskiej wystawy rękopisów Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Katalog wystawy zawierający dokładny historyczno-literacki opis wystawionych autografów oraz 32 całostronicowe tablice opracował Tadeusz Mikulski (Nakład Wydawnictwa Zakładu Narod. im. Ossolińskich)

*

Szczytem i wypełnieniem pozytywnego ideału chrześcijańskiego jest miłość. Miłość jest wypełnieniem prawa, bez miłości uczynki są niczym!

Z książki ks. dr Fr. Sawickiego „U źródeł chrześcijańskiej myśli filozoficznej", wydanej nakładem Księgarni św. Jacka w Katowicach (stron 157).

*

Duchowie w karczmie grają:
„Co się stało, Boże?
ułapili Janosika:
w bardyjowskim dworze.
Kie go ułapili?
wcora w nocy...
Kany go pognali?
do Lewocy".

Stanisław Nędza-Kubiniec wydał nakładem Biblioteki Oddziału Wiejskiego Zw. Zaw. Literatów Polskich „Janosik", poemat o zbójniku (stron 116).

*

Marian Szyjkowski: POLSKI ROMANTYZM W CZESKIM ŻYCIU DUCHOWYM. Poznań 1947. Instytut Zachodni. Stron 492.
Książka ta jest pierwszą pozycją wydawanej przez Instytut Zachodni Biblioteki Czeskiej. Stanowi ona syntezę osiągnięć naukowych prof. Szyjkowskiego, rozwiniętych w sześciu tomach wydanych względnie przygotowanych do druku w jęz. czeskim o polskim udziale w czeskim odrodzeniu narodowym. Wydanie tej pracy w dobie nawiązywania stosunków kult. z Czechami ma swoje niemałe znaczenie.

*

ŚW. WOJCIECH 997 — 1947. Gniezno 1947. Kuria Metropolitarna. Stron 361. Ilustr. 61.
Księga pamiątkowa z okazji uroczystości świętowojciechowych. Zamieszczone tu rozprawy stanowią dotąd najbardziej wyczerpujące omówienie z punktu widzenia współczesnej nauki samej postaci wielkiego świętego jak i kultu świętowojciechowego. Książka wydana pięknie, stanowi cenną pozycję wydawniczą roku 1947.

Wśród czasopism

Podczas gdy toczy się dalej dyskusja o powieści polskiej na razie przede wszystkim kontynuowana przez *Kuźnicę*, w innych pismach podniesiona została w sposób mniej wprawdzie polemiczny a bardziej sprawozdawczy kwestia teatru polskiego po wojnie. Czy rozwinie się ona w polemikę lub szerszą dyskusję, trudno przewidzieć. Zarówno obszerna praca *Zygmunta Kałużyńskiego Problemy powojennego teatru w Polsce (Twórczość*, nr. 10) jak i wypowiedź prawie oficjalna *Michała Rusinka (Teatr powstający na ruinie, Odrodzenie nr 44)* relacjonują i gromadzą materiał, postawa oceniająca i postulująca jest w nich zaznaczona słabo, bo wysuwający szereg dezyderatów Kałużyński przede wszystkim referuje wytyczne i żądania postawione przez Leona Schillera.

Kałużyński stwierdza na wstępie swych rozważań, że po wojnie nie ukształtowała się u nas zupełnie problematyka teatru, że pomimo wielu dyskusji nie rozwinęła się i nie stanęła na poziomie krytyka teatralna. Analizuje następnie nasze międzywojenne tradycje teatralne i wskazuje na olbrzymi wysiłek twórczy Juliusza Osterwy w Reducie oraz Leona Schillera, jako twórcy „polskiego teatru monumentalnego", z którego przeszedł następnie na „neorealizm". Stwierdza wielkie zdobycze formalne naszego teatru międzywojennego nie mające jednak głębszego podkładu ideologicznego. Warto zwrócić uwagę, że Kałużyński akcentów ideologicznych dopatruje się w naszym teatrze międzywojennym tylko w „Krzyczcie Chiny" i „Operze za trzy grosze". Znaczy to, że szuka tylko jednej ideologii, jednego jej kierunku. Wszystko inne, jakąkolwiek wartość przedstawia, ideologią dla Kałużyńskiego nie jest. Nie próbuje się nawet zastanowić, czy teatr polski w tym okresie miał jakąś ideologię błędną a poprzestaje tylko na orzeczeniu, że jej nie miał w ogóle. Toteż to zagadnienie pozostaje chyba otwarte. Skoro tworzył się w tym czasie w swych głównych zrębach nasz teatr narodowy, to chyba nie tylko zdobycze formalne o tym decydowały. A Kałużyński tylko je widzi i tylko nad tym się zastanawia, jak w stworzone przez nie ramy włożyć nową treść ideową. Wróży pomyślną przyszłość „neorealizmowi" Schillera, wzorowanemu na Wachtangowie. W tej wróżbie wolno się dopatrywać tendencji, która już się u nas wyraźnie zaznacza, tendencji do zerwania z tradycją teatru monumentalnego, który nie na zasługach Schillera się zaczyna i kończy, jak chce Kałużyński, tendencji do odsunięcia się od teatru wielkiej poezji, mówiąc inaczej teatru poetyckiego. Zdaje się, że w tym kierunku idzie i polityka repertuarowa Departamentu Teatru, o czym świadczyłyby pogłoski o wydanych zakazach dotyczących dramatów Mickiewicza, Słowackiego i Wyspiańskiego. Zakazy te podobno obejmują już sezon bieżący a rezultaty ich widzieliśmy już w Opolu. Ostro i znów głównie przy pomocy Schillera ocenia Kałużyński repertuarowe wysiłki naszgo teatru po wojnie. Repertuar jest przypadkowy, nie umotywowany i nieodpowiednio podany. Nawet ambitny wysiłek Teatru Komeralnego w Łodzi przyniósł tylko połowiczne i wątpliwe rezultaty. W dalszym ciągu daje Kałużyński nieco statystyki, która lepiej przedstawia się w artykule Rusinka. Stwierdza, że w wyniku dążenia Ministerstwa Kultury i Sztuki do „umasowienia" teatru liczba ich jest dwukrotnie większa niż np. w sezonie 1936/37. To jest zjawisko zorganizowane, nie jest natomiast rzeczą zorganizowaną znacznie większe zainteresowanie teatrem w społeczeństwie, dwukrotnie mniejsza ilość premier, znacznie większa frekwencja, co przyczyniło się do zaniku scen objazdowych. Ten fakt nie jest dodatni w swoim społecznym znaczeniu, gdyż ogranicza zasięg działania teatrów przy równoczesnym dążeniu do ich upowszechnienia. Z ogólnego nienowego obrazu życia teatralnego w Polsce po wojnie wydobywa Kałużyński trzy teatry ambitne, będące teatrami prowincjonalnymi i pracujące poza dyrektywami urzędowymi przy zupełnym braku zainteresowania ze strony Ministerstwa KiS. Są to: toruński teatr Horzycy, gdyński Gala i Stary Teatr w Krakowie Woźnika. Charakteryzując następnie powojenną twórczość dramatyczną naszych pisarzy, zauważa, że jest ona liczna i pozwala na wyodrębnienie trzech grup utworów: trawestacje mitów greckich, dramat biograficzno-historyczny, dramat współczesny psychologiczno-ideologiczny. Są ponadto próby dramatu eksperymentalnego, których nie mniej jednak zarzuciła realizacja sceniczna. Z kolei rozważa Kałużyński problemy organizacyjne sezonu 1946/47, ustalając następującą listę trudności: brak aktorów (zwłaszcza wybitnych do wielkiego repertuaru), sal i środków technicznych, dekoratorów, rozproszenie sił i środków, brak wzorowej sceny głównej, niedomagania szkolnictwa teatralnego, nie pogłębiony, zbyt fachowy i bezduszny stosunek młodego aktora do zawodu, niski poziom intelektualny narybku aktorskiego. Surowo ocenia również choć ogólnikowo politykę repertuarową Departamentu Teatru, osądzając ją jako pozbawioną ideologii społecznej i artystycznej. My byśmy powiedzieli, że zwłaszcza ideologii artystycznej ludziom z Departamentu brak zupełnie, podczas gdy ich ideologia społeczna jest nieprawdopodobnie prymitywna i gruboskórna. Dadzą się nabrać na każdą agitkę. Krytyka Kałużyńskiego kończy się surową oceną publicystyki teatralnej i czasopism. Rozprawę zamykają dezyderaty, oparte, jak zaznaczyłem, na programie teatralnym Leona Schillera. Te dezyderaty dadzą się krótko ująć jak następuje: zmontowanie wzorowego centralnego laboratorium przy rezygnacji z niefortunnego „umasowienia" (trzy formy wchodzą tu w grę: monumentalny Teatr Narodowy, Teatr Eksperymentalny i najważniejszy Teatr Ludowy im. W. Bogusławskiego), następnie celowa organizacja dramatopisarstwa i komentarza literacko-inscenizacyjnego do wystawianych utworów, wreszcie zorganizowanie biblioteki wydawnictw zarówno podręcznikowych jak dramatycznych (przedwojenna biblioteka „Drogi" i „Wiedzy o teatrze"). W punkcie pierwszym rozwinięty jest szczegółowy plan repertuarowy Schillera obejmujący 8 grup utworów. Plan to bardzo interesujący, plan rozsądny i przemyślany. Daj Boże, żeby zaczęto go realizować. Dotychczas w ramach tego planu leżą tylko schillerowscy „Krakowiacy i górale".

Kałużyński na ogół trafnie ocenia sytuację powojennego teatru polskiego, operuje materiałem obszernym, wcale dokładnym i miarodajnym. W sumie dał rzeczywiście przegląd naszej powojennej problematyki teatralnej, a jeśli szkic jego zawiera luki informacyjne, to częściowo przypisać je należy zupełnie przynosi wymieniony na wstępie artykuł *Michała Rusinka*, dyrektora Departamentu Teatru. Artykuł ten jest może nawet zamierzoną odpowiedzią na wystąpienie Kałużyńskiego, który zarzutów i gorzkich słów pod adresem Departamentu nie szczędził. Jeśli Kałużyński jest pesymistą, to Rusinek ujmuje rzecz zasadniczo z dużym optymizmem a wywody swoje podpiera obszernym wstępem ukazującym sytuację teatru polskiego przed wojną i w czasie okupacji oraz bilansującym ciężkie straty tego teatru. Są to rzeczy nie nowe i nie na wszystkie braki naszego życia teatralnego znajdziemy w nich usprawiedliwienie. Nikt po trzech niespełna latach nie wymaga od teatru polskiego wspaniałości i olbrzymich sukcesów, tak jak i nikt nie wymaga od Warszawy, żeby już wszystkie gruzy usunęła. A „reformy teatralne", zapowiedziane przez Ministerstwo Kultury i reklamowane przez p. Rusinka dotychczas na rozwój teatru polskiego wyraźny wpływ naprawdę wywarły. Samo państwo jako nowy przedsiębiorca teatralny nie zdało egzaminu w większości swych placówek, nie zdało go zupełnie ani w zakresie repertuaru, ani w zakresie osiągnięć artystycznych na reprezentacyjnej scenie Teatru Polskiego w Warszawie. Instytucja „kierowników literackich", którą chlubi się specjalnie dyr. Rusinek jest powiedzmy sobie otwarcie — w praktyce fikcją. Polityka repertuarowa jest, ale o tym mówiliśmy już przy Kałużyńskim. Interesująca jest w artykule Rusinka statystyka twórczości dramatycznej. Komisja repertuarowa Departamentu otrzymała w dwóch latach 611 sztuk polskich autorów. Zakwalifikowała 142! Wystawiono z nich na scenach 40. Sam autor artykułu stwierdza zresztą że wielu jest powołanych, ale mało wybranych, że żadna ze sztuk nie nosi cech zupełnej doskonałości. Mamy poważne podstawy do przypuszczeń, że wiele z dopuszczonych przez komisję sztuk nie ma nic wspólnego nie tylko z doskonałością choćby średnią, lecz nawet z poprawnością literacką i sceniczną. Teatr w Sosnowcu dał tego dwa wymowne przykłady prapremierami utworów Morozowicz-Szczepkowskiej i niejakiego p. Bakala. Mamy prawo także przypuszczać, że Departament poleca niektórym teatrom wystawianie niektórych marnych sztuk o pożytecznej, lecz bardzo prymitywnie podanej tendencji. Teatry robią to dla miłej subwencji i... kładą się na tych sztukach finansowo. Nie dlatego, że widownia jest reakcyjna, lecz dlatego, że widownia pragnie teatru a nie nieudolnej publicystyki. Wzrusza się na demokratycznym „Sułkowskim" a nie chodzi na mętne i nudne wypracowania na aktualne tematy.

Mimo wszystko artykuł Rusinka jest ze względu na zawarte w nim informacje cennym dopełnieniem pracy Kałużyńskiego. (ki)

Teatry Zagłębia i Opolszczyzny

Teatr Zagłębia Dąbrowskiego posiada swoją siedzibę w Sosnowcu, Teatr Ziemi Opolskiej w Opolu — oba, chociaż w różnym zakresie, mają do spełnienia ważną funkcję społeczną i kulturalną i oba walczą z trudnościami, przeszkadzającymi — niestety — w owocnym realizowaniu nakreślonego planu. Trudności te spostrzeże każdy człowiek, orientujący się w możliwości zespołów artystycznych wymienionych placówek (Sosnowiec jest pod tym względem w lepszym położeniu), spostrzeże na jakimkolwiek przedstawieniu piętno niedostatku, poczuje przykry zapach biedy. Oba teatry należą do najtańszych w Polsce, oba mają swoje ambicje (Opole cierpi nawet na ich przerost) — cóż z tego, skoro jest jakiś błąd, uniemożliwiający im osiągnięcie wyrazu artystycznego równego poziomem roli, jaką mają na swych terenach odegrać. Kłopoty teatru sosnowieckiego są raczej natury finansowej, opolskiego nie tylko finansowej lecz także organizacyjnej. Aby to stwierdzić, trzeba się uwolnić z magii cyfr i tytułów, nie pozwolić imponować sobie zatrważająco wielką ilością premier w sezonie ani rozpaczliwie, amatorsko granymi tragediami Słowackiego. Trzeba to zobaczyć... a później, z największą życzliwością i zrozumieniem złu zaradzić. Chodzi o to, aby zdać sobie sprawę, gdzie ono tkwi.

Doszedłem do miejsca, w którym mogę się przyznać, że to napisania tych słów natchnął mnie przeczytany z niemałym zdziwieniem w 44 numerze „Odrodzenia" artykuł Michała Rusinka pod drażniącym tytułem „Teatr powstający na ruinie". Czyżby w trzy lata po zakończeniu wojny, w okresie intensywnej odbudowy dawno uprzątnięte ruiny (nie mówię, naturalnie, o Warszawie) miały usprawiedliwiać naogół niski poziom naszych teatrów? A może artykuł został napisany przed dwoma laty (bo takie czyni wrażenie) i leżał zbyt długo w redakcyjnej tece? Ani jedno, ani drugie — po prostu autor nie skonfrontował raportów, napływających do Ministerstwa z rzeczywistością i podał piękne dane, świadczące doskonale o Departamencie Teatru, nic zaś nie mówiące o teatrach, zwłaszcza tych biedniejszych tzw. prowincjonalnych.

„Komisja Repertuarowa Departamentu Teatru oceniła kolektywnie wszystkie nadesłane sztuki, zakwalifikowawszy do wystawienia 142". Wśród tych sztuki znajdowały się m. in. „Ojczyzna" Morozowicz-Szczepkowskiej i „Koniec świata" Bakala, wystawione w ostatnim miesiącu przez Teatr Miejski w Sosnowcu. Mogę zapewnić Departament Teatru, że sztuki te nie pomogą żadnemu teatrowi „powstać z ruin", ale mogą każdy teatr zrujnować. (Zresztą dyrekcja lansująca tego rodzaju sztuki, zasługuje w zupełności na taki los). Złą sztukę aktor gra bez przekonania, reżyser inscenizuje ją w ten sam sposób, a publiczność bojkotuje i zraża się do teatru. Dla ratowania kasy, w dwa tygodnie przygotowuje się nową premierę, w której nie chodzi już o osiągnięcie artystycznie wysokiego poziomu ale o to, aby było szybko i tanio. Tak powstają rekordowe ilości premier w sezonie i w ten właśnie sposób malutki zespół opolskiego teatru podzielony na trzy części może grać trzy sztuki równocześnie.

Teatr sosnowiecki nie stoi jeszcze na straconej pozycji, jednak po udanym starcie („Świętoszek" Moliera) nastąpił, wskutek wystawienia „Ojczyzny" i okropnej farsy p. t. „Koniec świata" kryzys repertuarowy i finansowy, który oby nie przerodził się w organizacyjny, podobny temu, w jakim tkwi teatr opolski od roku. Jedno potknięcie, może pociągnąć za sobą spadek frekwencji, a co za tym idzie stały spadek poziomu artystycznego. Wierzę, że tak świetny artysta jak Wiktor Biegański, zaproszony do reżyserii w następnej sztuce (szkoda, że to „Matura" Fodora) odmieni nieszczęśliwą passę, zapoczątkowaną sztukami poleconymi przez Komisję Repertuarową Departamentu Teatru.

„Lekkomyślna siostra" Perzyńskiego — to czwarta premiera w nowym sezonie, a jej sceniczna realizacja nosi na sobie bezsprzeczne piętno owego hasła: szybko i tanio.

Reżyseria *Stanisławy Zbyszewskiej* uzależniona była pewnie od warunków, w jakich się teatr znajduje, koncepcję narzuciły puste miejsca na sali. Dlatego grano *„Lekkomyślną siostrę"* współcześnie i dlatego w dekoracjach nie było widać śladu talentu ich twórcy. Najmocniejszy atut spektaklu stanowiła rola tytułowa w głęboko odczutej i dojrzałej interpretacji *Marii Habdank — Białobrzeskiej*. Niewłaściwie obsadzona w roli Heleny p. *Larys — Pawińska* nie przekonywała ani jednym akcentem. *Romuald Bajanowski i Lidia Kownacka* staranniejsi w swych odtworzeniach od reszty zespołu.

Na pytanie: i co dalej — odpowie Wiktor Biegański.

W cytowanym już artykule Michała Rusinka znajduje się zdanie:

„Wziąwszy pod uwagę imponującą frekwencję... — możemy śmiało powiedzieć, że jeżeli będziemy prowadzili racjonalną organizację życia teatralnego i zdobywali środki finansowe na budowę nowych teatrów czy na wielkie teatry objazdowe, a zwłaszcza na udostępnienie cen wstępu, będziemy mogli nie tylko obdarzyć świat pracy teatrem, ale przy odpowiednio ukształtowanym repertuarze podnosić go duchowo, kształcić i wychowywać".

Racja, ale najpierw trzeba stworzyć *dobry* teatr, trzeba zapewnić mu materialną egzystencję i możliwości artystycznego rozwoju. Tymczasem teatr opolski gra obok „Fircyka w zalotach" farsę Zaleskiego „Oj, mężczyźni, mężczyźni!" i głupią komedię Cwojdzińskiego „Człowiek za burtą". A jak? Widziałem szkolne przedstawienie „Fircyka" w Chorzowie — odrapane, niechlujne dekoracje, z których przy dotknięciu unosi się kurz, brudne peruki i niekompletne kostiumy, role jedne zagrane lepiej, inne gorzej (przeważnie gorzej) — całość przygnębiająca. Nie chcę, aby mnie posądzono o zbyt wysokie wymagania, kieruję się miernikiem osiągnięć artystycznych teatru bielsko-cieszyńskiego, który przekona każdego, że na prowincji może także być dobry teatr. Tylko takie postawienie sprawy może przynieść pozytywny rezultat. Tylko, przez wytknięcie błędów można je zwalczyć.

Cóż z tego, że teatr opolski jest tańszy od kina, skoro publiczność opolska woli obejrzeć najgłupszy film niż najlepszą sztukę.

Michał Rusinek ma rację, pisząc o racjonalnej organizacji życia teatralnego, lecz myli się, sądząc, że wystarczy to tylko napisać.

Seweryn Słotowski



Maria Habdank-Białobrzeska w „Lekkomyślnej siostrze" Perzyńskiego

Na fali 19,43 m

„Kuźnica" zamieściła ostatnio sprawozdania i statystykę z naszej działalności wydawniczej. Nie od rzeczy byłoby podanie cyfry, obrazującej rozwój i rozmach wydawniczy w Związku Radzieckim.

Biblioteki ZSRR na skutek działań wojennych poniosły straty nie mniejsze (proporcjonalnie) niż my. Najazd hitlerowskich hunów Zachodu, zwłaszcza w pierwszym stadium minionej wojny, siał śmierć nie tylko na polach bitew, nie tylko w gettach — ale z taką samą obłąkańczą pasją w bibliotekach. Palono książkami. Mielono je. Bombardowano biblioteki i muzea. Brukowano książkami ulice (Kijów).

Jednym z aspektów odbudowy, nie mniej ważnych od odbudowy gospodarczej i ekonomicznej zniszczonych najazdem ziem — jest odbudowa kulturalna: w tym wypadku odbudowa bibliotek, zapełnienie nowych półek tomami ludzkich rozważań. Potrzebę tę zrozumiano doskonale w Związku Radzieckim. Razem z pierwszą cegłą, położoną na zaczątek odbudowy domu — położono dłoń na dźwigni puszczającej w ruch maszynę rotacyjną. I następny rękopis na biurku wydawcy. I wznowienie.

Radzieckie Wydawnictwo Państwowe wydało w roku bieżącym trzynaście milionów tomów literatury pięknej. Jest w tej impanującej liczbie Diderot i Balzak. Jest wybór poezji Mickiewicza. Z klasyków rosyjskich: Puszkin, Lermontow, Gogol, Turgieniew, Niekrasow, Lew Tołstoj, Dostojewski, Czernyszewski, Bieliński, Czechow, Gorkij, Kuprin...

Rozpoczęto wydanie pełnego zbioru dzieł Stendhala, Maupassanta, Heinego. W specjalnej Bibliotece Dzieł Wybranych (jednotomowej) ukażą się w nakładzie 150.000 egzemplarzy „Nowele i Opowiadania" Henryka Sienkiewicza...

Biblioteki będą odbudowane. Zapełnią się półki i sięgną na nie po książki ręce ludzkie. Zdaje się, że tak ktoś powiedział: kto nie czyta książek, ten ma do przeżycia tylko swoje jedno, małe życie...

* * *

Stosunek do książki nie może być martwy, beznamiętny. Trzeba umieć przeniknąć słowa, wyobrazić sobie dłoń, która je pisała, dostrzec człowieka, który stworzył dzieło. W bohaterze powieści trzeba kochać — zawsze, w każdym wypadku — twórcę.

Moskwiczanie obchodzili uroczyście czterechsetną rocznicę urodzin twórcy „Don Kichota". Gazety literackie umieściły artykuły i essay'e literackie o Cervantesie i o jego twórczości, poświęciły mu wiele czasu radiostacje, wiele miejsca gazety codzienne.

Ilia Erenburg przemawiał w moskiewskim domu literatów. Mówił: Ideały głoszone i obrazowane przez Cervantesa są narodowi radzieckiemu bliskie, tak samo jak bliskie i cenne jest dla nas to wszystko wielkie, co stworzyła kultura ludzka".

* * *

Z tego miejsca chciałbym podać do wiadomości, że w związku z trzydziestą rocznicą Rewolucji Październikowej, rozgłośnia poznańska Polskiego Radia ogłosiła konkurs literacki na temat: „Moje spotkanie z ludźmi Związku Radzieckiego". — W konkursie każdy może wziąć udział. Forma: krótki felieton lub opowiadanie. Temat: przeżycia, sądy, wrażenia wywołane przez spotkanie z obywatelem Zw. Radzieckiego. Będą nagrodzone i wygłoszone przez radio trzy najlepsze prace. Technika nadsyłania prac tradycyjna: w kopercie podpisanej godłem — utwory. W drugiej kopercie — imię, nazwisko i adres. Adres rozgłośni: Polskie Radio, Poznań, ul. Berwińskiego 5.

ANDRZEJ WYDRZYŃSKI



Akademik R. Bach, w rozmowie z wiceprezydentem Akademii Nauk ZSRR, Wołginem

Krótkie spięcia

Nomen omen

Naszych pisarzy klasyfikowano już rozmaicie. Na realistów i surrealistów, na impresjonistów i na ekspresjonistów, na poetów i prozaików, na piszących i na grafomanów, oraz na takich, oraz owakich, nikt jednak jeszcze ich nie podzielił, że się tak wyrażę, na — nomenów i na binomenów. A to przecież ma swoją bardzo charakterystyczną wymowę.

Dlaczego bowiem jednym wystarcza jedno imię, zaś drudzy muszą ich mieć aż dwa? Co wpływa na to, że na ten przykład dla Jerzego Dziubasa Jerzy jest czymś zupełnie wystarczającym, a dla Jerzego Piramidona już nie i Jerzy Piramidon musi się podpisywać, dajmy na to, Jerzy Anatol Piramidon? Skąd to się bierze, że są zwyczajne Stanisławy, Jany czy Tadeusze, a równocześnie obok nich wykwitają Stanisławy Ryszardy, Jany, Andrzeje i Tadeusze Mariany?...

Ba, są jeszcze przecież tacy, którzy swoje drugie imię skracają do pierwszej litery, tak że na przykład Bronisław Klemens Winda podpisuje się Bronisław K. Winda. Dlaczego?...

Niewątpliwie coś w tym wszystkim tkwi i to coś ma swój podskórny, ale za to głęboki sens. Tylko jaki?...

Na ten ciekawy temat warto by otworzyć dyskusję w pismach literackich i przeprowadzić odpowiednią ankietę wśród zainteresowanych. My ze swej strony rzucimy tutaj tylko pewną myśl, która by ową dyskusję mogła wprowadzić na właściwe tory. Otóż naszym zdaniem trzeba by sięgnąć u każdego z nomenów oraz binomenów do czasów wczesnej młodości, a ściślej mówiąc do tzw. ławy szkolnej.

Bo to było prawdopodobnie tak: Znakomity późniejszy poeta, powiedzmy Klemens Bimbas, siedzi na lekcji matematyki i zamiast rozwiązywać wzór sinus alfa plus beta wpisuje do zeszytu szkolnego swój pierwszy wiersz o miłości, czyli, jak to się mówi, erotyk. No i zastanawia się, co będzie, gdy przypadkiem ten erotyk ukaże się w druku. Tytuł utworu: „Do Ciebie...", a w nagłówku imię i nazwisko autora: Klemens Bimbas. Nie, to brzmi źle. Wiersz „Do Ciebie..." jest w pojęciu autora genialny, ale sam autor?... Klemens Bimbas więc myśli i dochodzi do wniosku, że daleko lepiej to wypadnie, gdy zamiast słów „Klemens Bimbas", użyje się np. słów „Klemens Jerzy Bimbas". No i tak już zostaje.

A natomiast inny przyszły znakomity poeta, powiedzmy, Jan Cokolwiek, myśli sobie w takim samym momencie co innego: „Grunt to dobroć utworu, a czy przy nazwisku będzie jedno, czy dwa imiona, to przecież wszystko jedno. W niczym to nie poprawi wartości wiersza." No i tak już zostaje.

A potem się dziwimy, dlaczego Klemens Jerzy Bimbas jest Klemensem Jerzym Bimbasem, zaś Jan Cokolwiek jest tylko Janem Cokolwiekiem. Tymczasem zaś to jest zupełnie proste. Klemens Jerzy Bimbas dbał bardziej o nagłówek utworu, zaś Jerzy Cokolwiek o sam utwór.

O to tylko teraz chodzi, czy dzisiaj obaj dbają dalej o to samo.

NIEJAKI X.

* * *

P. S. W sprawie podwójnych, względnie potrójnych nazwisk pisarek, np. Wandy Wypchaj-Czeczotkowicz-Winegretowej wyjaśniamy, że chodzi tutaj o podkreślenie, ile razy dana autorka wyszła za mąż. Tylko co to kogo obchodzi? *N. X.*

Tydzień Katowic

od 6.10 do 12.10.47

ŻYCIE LITERACKIE:

6. 10. 47. W ramach cotygodniowych odczytów organizowanych przez Klub Literacki przy Związku Zawodowym Literatów Polskich w Katowicach wygłosił Zdzisław Hierowski prelekcję na temat „Czeski epik śląskiego pogranicza" (twórczość A. C. Norra).

ŻYCIE MUZYCZNE:

8. 10. 47. W sali Państwowej Filharmonii w Katowicach przy ul. Sokolskiej 2 odbył się recital Szopenowski w wykonaniu Nadziei Padlewskiej. W programie fantazja f-moll, sonata f-mol, ballada f-mol, polonez as-dur, etiuda, nokturn, mazurki, walce.

22. 10. 47. W sali Filharmonii w Katowicach przy ul. Sokolskiej 2, wykonano wielki koncert muzyki rosyjskiej z udziałem Orkiestry Państwowej Filharmonii oraz solisty Leona Telatyńskiego, barytona. Dyrygował W. Krzemieński. W programie: A. Borodin, A. Chaczatarian, R. Czajkowski, M. Mussorgski, R. Glir.

PLASTYKA:

6. 10. 47. W lokalu wystawowym Związku Artystów Plastyków w Katowicach przy ul. Dworcowej 13, otwarto wystawę prac plastyków wrocławskich.

TEATR:

11. 10. 47. Na dużej scenie teatru im. Wyspiańskiego w Katowicach odbyła się premiera komedii Tadeusza Ritnera „Głupi Jakub". Udział wzięli: Biegański Wiktor, Brochocka Hanna, Hierowski Roman, Jasiecki Mieczysław, Kossowski Stanisław, Miecikówna Krystyna, Mierzejewski Bolesław, Rokossowski Adam, Rozwadowska Helena, Wilczkowski Zygmunt. Reżyseria Wiktora Biegańskiego. Dekoracje Wiesław Makojnik.

13. 10. — 19. 10. 1947.

ŻYCIE LITERACKIE:

13. 10. W ramach stałych odczytów, organizowanych przez Klub Literacki w Katowicach przy Związku Zawodowym Literatów Polskich, oddział śląski, odbył się w sali Instytutu Śląskiego odczyt Kaltenbergha pt. Współczesna literatura radziecka.

ŻYCIE MUZYCZNE:

17. 10. Staraniem Miejskiego Komitetu Opieki Społecznej w Katowicach odbył się w sali Filharmonii w Katowicach Koncert Symfoniczny w wykonaniu Orkiestry Symfonicznej Państwowej Filharmonii oraz Władysława Kędry (fortep). Dyrygował Zbigniew Dymek. W programie: L. Różycki, M. Revel, J. Suk, M. Karłowicz.

INNE IMPREZY:

14. 10. Wojewódzki Komitet Odbudowy Warszawy w Katowicach, zorganizował „Wieczór słowa, pieśni i tańca", w którym udział wzięli następ. wykonawcy: K. Szczepańska, T. Kostulski (śpiew), T. Burke, J. Lechówna (taniec), A. Baumgardten, J. Prutkowski, W. Szewczyk (wiersze o Warszawie) Niejaki X (felieton aktualny), St. Ligoń (wesoły dialog), Mała Orkiestra P. R. pod dyr. K. Bryzka (akompaniament J. Harald). Dochód przeznaczono na odbudowę Warszawy.

ODCZYTY:

20. 10. W ramach cotygodniowych odczytów Klubu Literackiego przy Z. Z. L. P. oddział śląski, odbyła się w sali Instytutu Śląskiego prelekcja Witolda Bieńkowskiego na temat „Katolicy wczoraj, dziś i jutro".

22. 10. Z inicjatywy Polskiego Towarzystwa Historycznego, oddział w Katowicach, wygłosił dr. Kazimierz Popiołek odczyt p. t. „Niemcy przegrały wojnę w roku 1943".

24. 10. W ramach organizowanego przez Tow. Przyjaciół Nauk cyklu wykładów o cywilizacji, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego, dr. K. Moszyński wygłosił odczyt na temat początków kultury w świetle etnografii egzotycznej.

ŻYCIE MUZYCZNE:

22. 10. W sali Filharmonii przy ul. Sokolskiej 2, odbył się Wielki Koncert Symfoniczny Czeskiej Orkiestry Filharmonicznej z Pragi, pod dyrekcją Rafała Kubelika z następującym programem: 1. Jan Maklakiewicz (uwertura praska), 2. Bohuslaw Martinu (IV symfonia), 3. Josef Suk (Św. Wacław), 4. Jaroslaw Ridki (scerzo), 5. Antoni Dvorak (tańce słowiańskie).

Tydzień Wrocławia

12. 10. — 19. 10.

ŻYCIE MUZYCZNE:

12. 10. odbył się w Wielkim Studio Polskiego Radia Nadzwyczajny Koncert Symfoniczny Filharmonii Wrocławskiej z udziałem Jerzego Gardy, barytona opery La Scala w Mediolanie. Dyrygował dyr. Kazimierz Wiłkomirski.

12 — 15. 10 w Operze Dolnośląskiej występy gościnne primadonny Opery Katowickiej, Jadwigi Lachetówny w operze Pucciniego „Tosca".

17. 10. odbył się koncert inauguracyjny Filharmonii Wrocławskiej. Solistką była Eugenia Umińska (skrzypce), która wykonała koncert skrzypcowy D-dur Brahmsa. Dyrygował dyr. Kazimierz Wiłkomirski. Program obejmował poza tym: Concerto grosso G-moll na orkiestrę smyczkową Haendla, poemat symfoniczny „Grunwald" Maklakiewicza i Uwerturę Bacewiczówny.

ŻYCIE LITERACKIE:

16. 10. przybyła do Wrocławia wycieczka literatów i plastyków jugosłowiańskich

16. 10. odbył się 74-y „Czwartek literacki" Koła Miłośników Literatury i Języka Polskiego, na którym prof. dr. Marian Jakóbiec powitał jugosłowiańskich gości, którzy z kolei przemówili do publiczności oraz odczytali kilka drobnych utworów.

ŻYCIE NAUKOWE:

17. 10. odbyło się pierwsze zebranie nowo powstałej sekcji dydaktycznej Wrocławskiego Towarzystwa Miłośników Historii.

17. 10. odbyło się 41-e posiedzenie naukowe Oddziału Wrocławskiego Towarzystwa Matematycznego z referatem R. Sikorskiego p. t. „Definicja całki w ciałach Boole'a".

Tydzień Spraw Zachodnich

A. Polityka i gospodarka

Dziuszyński Patrycy — O sprawiedliwy podział żywego inwentarza poniemieckiego (Osadnik na Ziemiach Odzyskanych Nr. 15); **Bolesław Rumiński** — Nasze zadania na Ziemiach Odzyskanych (Trybuna Wolności Nr. 32); **J. Świrski** — Wola Narodu (III Zjazd Przem.) (Chłopski Sztandar Nr. 38); **Włodzimierz Sokorski** — Po zjeździe (III Zjazd Przem.) (Związkowiec Nr. 39); **Adam Pohl-Karski** — Kierunek na Szczecin (Szczecin Nr. 35—36); **Ryszard Obrączka** — Po Zjeździe Przemysłowym Ziem Odzyskanych (Młodzi Idą Nr. 39; **Marian Brandys** — Zjazd Szczeciński — (Odrodzenie Nr. 38).

B. Nauka, kultura, sztuka

Józef Sieradzki — Księga o Niemczech (O „Potępieńcach" A. Treplińskiego (Trybuna Tygodnia Nr. 1).

C. Literatura i reportaż

Jan Florczak — Ludzie chwalą sobie życie w tych stronach (Pom. Zach.) — (Chłopi Nr. 40); **Jan Natkawiec** — Szczecin — miasto polskie (Związkowiec 39); **P. D.** — Dożynki Lubelskie (Polska Zachodnia Nr. 38); **Zygmunt Radomski** — Na dworcu w Bochum (j. w.); **Eugeniusz Paukszta** — Osty i kłosy (Mazury) — (j. w.); **E. Wrocławski** — Wrócił na ziemie ojców (Dolny Śląsk) — Chłopska Droga Nr. 37); **A. Sylwester** — W Opolu buduje się mosty serdeczne (Ogniwa 38); **Adam Czekalski** — Realny romantyzm morza (Szczecin Nr. 35—36); **Stanisław Ziembicki** — Śmierć Schaffgotschów (Radio i świat Nr. 38); **Karol Małcużyński** — Na nowych kresach — (Tydzień Nr. 38).

SPRAWY NIEMIEC

Wojna i okupacja

Aleksander Litwin — Krok za krokiem ku klęsce (Trybuna Wolności Nr. 32); **Ludwik Łakomy** — Westerplatte (Ogniwa Nr. 38); **Wspomnienia** (Powst. warsz.) — (Tydzień Nr. 38).

Niemcy współczesne

Wilhelm Szewczyk — W sprawie niemieckiej (Kuźnica Nr. 38); **Urszula Godzik** — Odrodzenie katolicyzmu w Austrii (Głos Katolicki Nr. 39); **Wacław Madejski** — Kościół czarownic (Ogniwa 38); **St. Sławicz** — Stalowe Prusy — (Dziennik Polski Nr. 257); **Egon Naganowski** — Amerykański barometr — (Odrodzenie Nr. 38); **A. Jerusalimski** — Tradycje francuskiej dyplomacji i problem niemiecki (j. w.); **Dr J. A. W.** — Mocarstwa zachodnie wobec przemysłu niemieckiego — (Polska Zachodnia Nr. 38).

SPRAWY SŁOWIAŃSKIE

Czechosłowacja — Wystawa grafiki czechosłowackiej — (Odrodzenie Nr. 38).

Wydaje Sp. Wyd. „Czytelnik". Redaktor naczelny: WILHELM SZEWCZYK. Komitet Redakcyjny: Zespół „Odry". Redakcja: Katowice, 3 Maja 36a, II ptr. Telef. 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Martynowa 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, 3 Maja 12. Wrocław, ul. Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4960. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Złożono i odbito w drukarni nr 9 Sp. Wyd. „Czytelnik", Katowice, ul. 3 Maja 12.

R 23270